

w Kępnie. W dniu 22 lipca specjalna komisja oceniała szkody powstałe na skutek działań wojennych, kradzieży itp. W sposób szczególny zdewastowany był urząd celny. Także tutejsze budynki szkolne były uszkodzone na skutek kwatrowania w nich wojsk. Poza tym w miejscowości naszej szczyły się bardzo kradzieże i włamania po długim przebywaniu kompanii Kocha.

Ponieważ dotychczas nie zajęte części powiatu kępińskiego włącznie z Podzamczem po ratyfikacji traktatu pokojowego nieuchronnie zostaną przekazane Polakom i dla niemieckich nauczycieli, którzy w najlepszym okresie swego życia byli pionierami niemieckości w monarchii wschodniej, nie będzie już miejsca, również ja postanowiłem wywędrować z zagrożonego terenu i przenieść się do Wałbrzycha. Ze smutkiem i bólem my nauczyciele niemieccy musimy przyznać, że nasza praca poszła na marne. Moje najlepsze życzenia niechaj towarzyszą losowi moich niemieckich współziomków, kolegów i niemieckiej młodzieży, która była powierzona mojej opiece.

Podzamcze, dnia 30 września 1919 r.
Bernard Kriste (nauczyciel)

Opróżnione stanowisko pierwszego nauczyciela B. Kriste' zajął dotychczasowy drugi nauczyciel Walter Johr, który prowadził dalej już krótkie i mało ważne zapiski w kronice szkolnej.

P.S. Polacy zajęli Podzamcze 18 stycznia 1920 r.

STEFAN KACZMAREK

MOJE WSPOMNIENIA

Urodziłem się 4 marca 1892 r., z ojca Stanisława i matki Marianny z domu Pucalówny. Ojciec, pochodzenia chłopskiego, stracił rodziców jako dziecko. Opiekę nad nieletnim rodzeństwem i gospodarstwem sąd przyznał stryjowi ojca. Wdał się on w spory o miedzę z sąsiadami, przy czym przesadził prawie całe gospodarstwo. Ojciec, jako najstarszy, poszedł w służbę. Młodsze rodzeństwo znalazło opiekę u krewnych. Gdy ojciec dorósł i zawarł związek małżeński, sprzedał odziedziczoną po rodzicach chatkę z ogrodem i przeniósł się z Lasek do Mechnic pow. Kępno, gdzie nabył dom i hektar ziemi. Wiosną wyjeżdżał do Niemiec Zachodnich za pracą.

Wychowywałem się właściwie pod opieką matki. Była to piękna, wspaniała kobieta. Bardzo lubiła książki, gazety. Wychowała nas pięcioro chłopaków i siostrę. Wieczorami słuchaliśmy z ciekawością opowiadań jej przeżyć: o warunkach bytu, o ucisku chłopca i robotnika w Polsce porozbiorowej, o jej kuzynach Damianie i Marcinie, którzy zginęli w powstaniu. Była zawsze niezłomnej wiary, że Polska odzyska wolność w tymże stuleciu. Ona uczyła nas składać literki w słowa, abyśmy mogli jej donieść w swoim języku, gdy nas „los rzuci w świat” — jak sama mawiała. Abonowała „Gazetę Grudziądzką”, w której odcinkami drukowano trylogię Sienkiewicza. Mnie zaintrygowało, co skłania matkę, że najpierw czyta owe odcinki trylogii. Miałem wówczas 8 lat. Pewnego razu zabrałem się również do czytania tych odcinków. Wzbudziły we mnie taką ciekawość, że wybiegałem pół kilometra za wioskę i czeka-

łem na listonosza, by się dowiedzieć, co wywnął Zagłoba. Wieczorem szeroka dyskusja, gdyż niektórych wyrazów ukraińskich i białoruskich nie rozumiałem.

Zaznaczam tu, że w czasie, gdy zacząłem chodzić do szkoły, dwie godziny w tygodniu nauki polskiego języka zostały zniesione. Nauczyciel Olejniczak podał nam to do wiadomości ze łzami w oczach. Na drugi dzień zamiast *Vater unser* cała klasa zaczęła w polskim języku „Ojciec nasz” itd. Tak się zaczął opór: strajk szkolny. Olejniczakowi stanęły ponownie łzy w oczach. Zamilkł.

W ostatnim roku szkoły oddano mnie w służbę. Niby do pasienia krów. Od stycznia do kwietnia, gdy krowy nie wychodzą w pole, musiałem młócić cepami na równi z gospodarzem i jego teściem. Spanie miałem w stajni. Wyżywienie: rano polewka i ziemniaki obrane z łupin. O półmroku do stodoły (...).

Czasem udało się skoczyć do matki niespostrzeżenie i wcisnąć w kieszeń kromkę chleba. Pod koniec lata lub pilnej roboty polnej krowy „pały się” w oborze, ja natomiast musiałem iść z kosą. Tak jakoś wytrzymałem do końca roku. Nie chciałem jednak dłużej paść krów. Zrozumiałem, jak to chłop potrafi także wykorzystywać, wyzyskać bezwstydnie swego pracownika; więcej niż dziedzic na majątku.

Następnego roku komisarz obwodowy Funk z Kępna szukał chłopca — po skończeniu szkoły — do posyłek w jego biurze. Udał się do szkoły, gdzie nauczyciel Olejniczak polecił mnie, gdyż miałem wyraźny charakter pisma. Komisarz wymienił wszystkie czynności moje, jak przynoszenie i odnoszenie listów na pocztę, pomoc służącej, trzepanie dywanów, zawieszanie firanek. W biurze nadzór miał nade mną sekretarz Michlik, który dał mi do sporządzania odpisy różnych pism.

Tak przysła jesień. Komisarzowi zabrano parobka od koni do wojska. Wtedy zapytał mnie Funk, czy umiem się z końmi obchodzić i wówczas przydzielił mi także tę funkcję. Powoziłem końmi p. kapitana w terenie jego obwodu. Używał mnie podczas wyjazdów także jako tłumacza podczas kontroli sołtysów lub podczas przesłuchiwania ludzi, gdy zaszedł jakiś wypadek. Niektóry sołtys mówił bowiem słabo po niemiecku. P. komisarz miał żonę z Austrii, toteż w czasie wakacji wyjeżdżali tam z dziećmi. Wyznaczono mi dzień oraz godzinę powrotu z zaznaczeniem, że gdy nie wrócą o godz. 23, przyjadą następnego dnia o godz. 1,30 rano. We wskazanym dniu Funkowie nie wrócili. Wróciwszy z dworca usiadłem przy stole. Obudziłem się o piątej, a pan kapitan musiał wrócić tak-sówką. O ósmej wezwał mnie przed swoje oblicze. Parskał ze złości i oświadczył, że z końcem następnego miesiąca zwalnia mnie ze służby. Odpowiedziałem, że odchodzę natychmiast, gdyż do koni mnie nikt nie godził. Na obiad nie poszedłem. Służąca przyniosła mi *Arbeitsbuch*, w którym pruski półbożek napisał następującą opinię: „*Eignet sich nicht für meine Dienste*”. Dokument ten natychmiast spaliłem. Bardzo chciałem uczyć się rękodzielnictwa, lecz — niestety — ojciec nie miał tylu zasobów, aby mi pomóc, gdyż dwu braci było już w nauce. Trzeba było płacić wówczas za naukę i całkowite utrzymanie. Zostałem do pomocy matce na roli (...)

W miarę dorastania nie chciałem w domu się objąć. Zastanawiałem się nad przyszłością. Nie chciałem też podjąć pracy w miejscowym ma-

jątku. Mając niespełna 17 lat, wyjechałem do Niemiec Zachodnich. W Bottrop podjąłem pracę przy budowie kolei. Tak rozpocząłem życie samodzielne. Nawiązałem znajomość z chłopakami tam zamieszkanymi. Poza członkostwem związku robotników polskich, wstąpiłem do Sokoła, koła śpiewu, koła amatorskiego i krajoznawczego. Zacząłem obracać się wśród ludzi uczciwych i patriotycznych. Wychódzcie [!] polskie życie kulturalne rozwijało się tam sprężysto, czego w stronach ojczystych w ogóle nikt nie widział. Tam się Polacy łączyli, szanowali i wspólnie stawiali czoło uciskowi i prześladowaniu pruskiemu. Już wówczas polski robotnik był upośledzony i niżej opłacany. Tam jeszcze rozważałem możliwości nauki rękodzielnictwa, jak murarka i cisiółka. Niestety, nie miałem znajomości wśród Niemców i znikąd poparcia. Gdy Niemiec wyczuł w Polaku większe zdolności, z miejsca zaczynał wymyślać przeszkody; wyśmiewać go, ośmieszać, obrażać, robić na przekór. Nienawiść do Polaków siała publicznie prasa niemiecka, literatura i publicyści w różnych okazjonalnych przemówieniach. Niewątpliwie, chcieli się przypodobać, gdyż rząd niemiecki czynił to jawnie, ustawowo, a pomagał mu w tym, prócz Hakaty, nawet kler katolicki, nadużywając w tym celu ambony.

W tym to czasie Zarząd Główny na Zachodzie polskiego Sokoła zwołał ogólny zjazd Sokoła w Bochum. Kilka tysięcy członków przeszło przez ulice miasta w zwartym szyku ze sztandarami i orkiestrami. Oddziały męskie w granatowych spodniach i białych koszulkach. Na piersiach tarcze z białym orłem w czerwonym polu. Oddziały żeńskie w jednolitych białych sukniach z biało-czerwonymi szarfami przez ramię. Niemcom o mało oczy z orbit nie powychodziły, gdy oglądali tę wspaniałą demonstrację narodową. Padaly okrzyki z okien: „*Das ist doch aber unerhört*”. „*Was sich die Polen nicht erlauben*”. „*Das ist eine Frechheit*”. Na drugi dzień wszystkie dzienniki na czołowych szpaltach pod tłustymi nagłówkami donosiły: „*Polnische Frechheit*” oraz „*Polen im Herzen Deutschlands*” itp. Sypały się ostre słowa krytyki pod adresem władz, które wydały zezwolenie na takie demonstracje znieprawdzonego Polakom. To zezwolenie było też ostatnim. Potem trudno było wynająć lokal czy salę chociażby tylko na godzinę ćwiczeń dla koła śpiewu.

Wiosną 1912 r. miałem przy pracy przetokowej osobiste wydarzenie. Przy każdym parowozie pracowało trzech przetokowych. Zdarzyło się, że przodownik grupy zachorował. Powierzono mi przodownictwo grupy. Strasznie to ubodło dwu Niemców, którym miałem przewodniczyć. Tym więcej, że byli starsi. Stawiali bierny opór na każdym kroku, tak że wskutek tego z trudem mogłem zestawić pociąg na czas. Pewnego razu, o godz. 22, przetokowałem parowozem wagony na tory boczne ze zwrotnicami ręcznymi. Dałem przetokowemu gwizdkiem znak, aby puścił następny wagon na tor 7. Przetokowy Kriegel przełożył zwrotnicę na tor 5, gdzie blisko zwrotnicy stały dwa wagony. Wagon, który pchnąłem parowozem, otrzymał rozpęd stosowny do odległości toru 7, a ponieważ Kriegel skierował go fałszywie, spowodował kraknę. Trzy wagony zostały poważnie zdemolowane. Zbiegły się władze kolejowe i kopalniane, gdyż działo się to na szybie *Reinbabenschätze*. Przesłuchanie było natychmiastowe. Tłumaczyłem zajście. Na pytanie dyrektora kto słyszał, że dałem gwizdkiem znać do przełożenia zwrotnicy na tor 7, zgłosił się stawidłowy, który stojąc na stawidle, słyszał wyraźnie, choć był dalej ode

mnie niż Kriegel. Ten przeczył memu twierdzeniu, krzycząc: „*Ist doch nicht wahr. Du verfluchter Pollak*”. Z miejsca trzepnąłem latarką szwaba w łeb, aż wszystkie szyby się rozprysły, a Niemiec padł na tory. Dyrekcja kolejowa wydała następnego dnia orzeczenie. Zostałem natychmiast zwolniony z pracy. Szwab nie wniósł skargi prywatnej, gdyż sprostował mnie i sam krakę spowodował.

Latem tegoż roku pojechałem z grupą Sokołów do Sterkrade, gdzie Niemcy organizowali rokrocznie wielkie widowisko ludowe, znane prawie na całe Niemcy. Stały tam całymi szeregami najróżnorodniejsze pawilony rozrywkowe; cyrk, strzelnice, areny walk z niedźwiedziami i inne stoiska zabaw ludowych. Wśród ogromnego pola między pawilonami postawiono budę zbitą byle jak ze starych, zmurszałych desek. Z boku małe okienka; jedno z ramą urwaną na pół, a drugie z jedną tylko półką okienka wiszącą na jednej zawiasie (...). Wewnątrz stół o trzech nogach. Obok stołu pod ścianą oparte jedno krzeselko, stare, połamane, o trzech nogach. Pod przeciwną ścianą drugie — tylko o dwu nogach. Od frontu, przez całą długość ściany, półmetrowej wysokości — na białym tle czarnymi literami napis: „*Polnische Wirtschaft*”. Na ten widok zawrzało wśród Sokołów; o mało szlag nas nie trafił. Z miejsca postanowiliśmy to zlikwidować. Ktoś postarał się o arkusz białego papieru. Na brzegu ogromnego pola niemiecka młodzież harcerska rozpałała ogień, gdzie zaopatrzyliśmy się w węgiel drzewny, którym napisaliśmy na białym papierze: „*Deutsche Kultur*” i szpilkami przybiliśmy na tylnej ścianie budy. Na znak rozstawionych czujek, że powietrze jest czyste, to znaczy, że w pobliżu nie ma *Pickelhauby* chwyciliśmy budę od dołu za deski i na komendę h-o-o-o! ruk buda podniosła się od tyłu i klapła frontem na ziemię, przykrywając szyderyczy szyld. Zwoływaliśmy się przy tym po niemiecku, aby zmylić gapiów: „*Du komm hehr, fas an*”. Na wierzchu natomiast została nasza karta z napisem „*Deutsche Kultur*”. W momencie się wszystko ulotniło i rozpierzchno w tłumie. Niektórzy wrócili i wślizgując się w gapiącą się cizbę, gapili się na swoje dzieło. Udział w tym brali sokoły: Kubiak Stefan z Wyszynowa, Zajac Józef z Bytomia, Śmigielski Franciszek z Koźmina, ja i starszy mój brat Jan, Przybył Szymek z Ostrowa Wlkp. i inni. Wszyscy z Bottrop. Razem 12 sokołów. Wreszcie pojawiła się policja i jakiś młody ksiądz katolicki. Z rozmowy policji z księdzem i wypowiedzi przesłuchiwanym gapiów dowiedzieliśmy się, że ową budę postawiła niemiecka młodzież katolicka, będąca członkami *Deutsch Katholischer Jugendbund*, a przewodniczącym tej bandy był właśnie ów ksiądz w rewerendzie. Kartę naszą zdjęła z połamanej budy policja. Z napisu domyślili się, szwab, kto był sprawcą, ale szukaj wiatru w polu. Nie był to bynajmniej wyjątkowy wypadek wrogięgo odnośzenia się katolickiego kleru niemieckiego do Polaków.

Pewnego razu pojawił się w Bottrop Piotr Goj pochodzący z mojej wioski rodzinnej. Był 3 lata starszy ode mnie, wysłużył wojsko i otrzymał zezwolenie na wyjazd do Ameryki. Tam się osiedlił. Porozmawiałem z nim o możliwości przeniesienia się do Ameryki, aby uniknąć służby wojskowej. Wyjeżdżał z powrotem na węglowcu z Hamburga. Pojechałem tam z nim i przy pomocy jednego z marynarzy przeschmugłował mnie na statek. Ukryto mnie na dnie w dziobie, gdzie leżała kupa lin, zwały opon i różny sprzęt okrętowy. Niestety, odkrył mnie przy kontroli

pies policyjny. Za tę próbę zapłaciłem 15 marek kary, przesiedziałem dzień na policji, gdzie spisano protokół, po czym mnie zwolniono. Dwa miesiące przed zaciągiem do wojska podjąłem pracę w kopalni dlatego, że służba wojskowa zaliczana była do stażu pracy. W ten sposób po służbie wojskowej mogłem być dopuszczony do pracy przy węglu, gdzie był lepszy zarobek akordowy.

Z początkiem października 1912 r. wcielono mnie do 6. Kompanii 159 p.p. w Mühlheim nad rzeką Ruhr. Nazywano ten pułk *Henkelmann Soldaten* z tego powodu, że służyła w nim pokaźna ilość ochotników synków mamy [!] z okolic. Dryl pruski znosiłem lżej niż mamy synki [!]. Nie mogłem natomiast znieść poniżających wyzwisk w rodzaju: „*Du verfluchter Pollak*” lub wymyślań: „*Das ist die richtige polnische Wirtschaft*”, bo to sprawiało mi wiele przykrości. W pierwszych 14 dniach służby kapral drużynowy mnie tak nazwał. Po ukończeniu służby (ćwiczeń) poprosiłem go, aby mi pozwolił mówić z nadzorującym podporucznikiem. Na pytanie, co chcę u podporucznika odpowiedziałem, że dowie się, gdy wrócę. Nie zezwolił, lecz pytał, czy się czuję dotknięty tym, co mi powiedział? Odpowiedziałem mu, że z pochodzenia jestem Polakiem, a nie *Verfluchte Pollak*. Zwołał natychmiast drużynę około siebie. Zakażał wszystkim używania tych obraźliwych wyzwisk. Oficjalnie istniał zakaz odnoszenia się do żołnierza w ten sposób. Później jednak przekonałem się, że oficerowie w służbie robili to samo. W tej kompanii było prócz mnie jeszcze trzech Polaków. Słabo mówili po niemiecku i z tego powodu więcej byli szykanowani.

Po roku czułem się pewny. Wykułem dość dobrze *Eksercierreglaman*. Wkułem tak, że pod koniec roku byłem w stanie poprawić omyłki kaprala drużyny. Drogo mnie to kosztowało; szykany się sypały. Psułem mu za to szyki, gdzie tylko mogłem, za co wycieraliśmy brzuchami kałuże i błoto na podwórzu koszarowym lub poligonie, przy czym Bartmann pocieszał, że nauczy nas czołgać się, aż nam się „woda w dupie zagotuje”. Miałem serdeczne zadowolenie z tego, gdy mamisynki wycierali ze mną. Z pasją ćwiczyłem szermierkę; raz, że lubiłem te ćwiczenia, a poza tym w tych ćwiczeniach tkwiła jedyna możliwość odwzięcenia się mamisynkom za bezkarne szykanowania Polaków. Szczególnie darzyli mnie karnymi funkcjami gefreitry Hufnagel i Töpp.

Obok strzelnicy na mokradle dowódca kompanii Beckmann uzyskał zezwolenie na założenie stawu rybnego. Podczas ostrego strzelania kompanii, co odbywało się drużynami, musieliśmy w przerwach kopać doły, ze zmianami, co 15 minut. Tę pracę nadzorowali starsi szeregowi: gefreitry. Sekcję, w której ja się znalazłem, nadzorował gefreiter Hufnagel. Po upływie 15 minut zwolnił Niemców, mnie zaś nakazał kopać dalsze 15 minut. Zastosował bezprawną samowolę licząc na to, że z Polakiem można to robić. Odmówiłem, co też nie było zgodne z przepisem, gdyż winien byłem rozkaz wykonać, a potem mogłem wnieść zażalenie.

Hufnagel wezwał mnie, chcąc prowadzić do sierżanta nadzorującego strzelanie, aby złożyć mu na mnie raport za nie wykonanie rozkazu. W drodze pytał, czy zdaję sobie sprawę, co mnie za to czeka. Wiem mówiłem, lecz jeśli ja będę siedział, to ty także, za fałszywe podawanie wyników strzelania twego ziomka — pisarka kompanii. Przystanął. „*Schehr dich weg*” — powiedział. Zaniechał z zaciętymi zębami i błyskawicami w

oczach. Szykany wzmogły się jeszcze więcej, gdy w ćwiczeniach polowych poprawiłem kaprala Bartmanna. Nie było dnia, abym przy obiedzie nie dostał karnej funkcji. To stoły w sali jadalnej szorować, to salę zamiatać, to wanny myć, ustępy szorować, albo piwnice zamiatać.

Razu pewnego wywołałem Hufnagela do szermierki. Przełożeni takie pojedynki bardzo popierali. Decydującym był cios w pierś lub brzuch. Tego unikałem. Obrabiałem mu ramiona i uda tak długo, aż mu ręce pomdlały. Karabinu ponieść już nie potrafił. Ręce mu opadły i ukrył się za grubym kasztanem, stojącym obok kantyny. Podszedł do niego sierżant nadzorujący te ćwiczenia, trącał go szablą z tyłu po łydkach mówiąc: „*Willst du nicht raus? Schämst du dich nicht?*” Miał się czego wstydzić, bo cała kompania przyglądała się, jak rekrut gefreitera goni po podwórzu. Gdy odpoczął za drzewem, wyszedł, podniósł karabin w górę, chcąc mnie uderzyć w głowę. Odbiłem cios i pchnięciem w pierś zakończyłem pojedynek.

Czułem, że postarają się odkuć. Po upływie dwu tygodni przyszło na naszą izbę wieczorem dwu drabów ze starszego rocznika. Obydwa kilkakrotnie karani. Jeden z nich, Ewerding, miał za sobą już trzy lata służby, wysługując czas pobytu w więzieniu. Obydwa [!] przeszli wzdłuż rzędu piętrowych łóżek, odczytując nazwiska na tabliczkach umocowanych do łóżek. Gdy wyszli, nasz starszy izby mówi: „Uwaga, dziś się na coś zanoszą”. Wyczułem trafnie, co będzie. Na moim łóżku zwinąłem kukwę i nakryłem kocem. Spać położyłem się na łóżko sąsiada, który miał urlop. Około godziny pierwszej w nocy drzwi się lekko otwierają. Draby doszli do mego łóżka, zdarli koc i biją jak cepami. Zerwałem się krzycząc: „*Was ist hier los, wofür haut ihr mich?*” (nie uderzyli mnie ani jeden raz). Wyskoczyłem pomiędzy łóżek, cap za nogę taboret — i rzuciłem z całej siły w ostatniego w chwili, gdy otwarli drzwi i zrobiło się jasno z korytarza, gdzie lampa paliła się całą noc. Tym ostatnim był Stefkens. Trafiony taboret w kręgosłup upadł, nie mogąc się podnieść. Na rumor i hałas przybiegł z parteru podoficer służby i bezradnie patrzył na jęczącego Stefkensa i na taboret leżący obok ze złamaną nogą. Wezwano telefonicznie dowódcę kompanii i lekarza. Rwetes, na miejscu przesłuchiwanie, protokoły. Obaj odpoczywali w ścisłem po 14 dni.

Kapral Bartmann odgrażał mi się w koszarach, że nauczy mnie tańczyć, gdy pojedziemy do [!] ćwiczeń na poligonie w Paderborn. Krótko potem znaleźliśmy się tam. Były to ćwiczenia dywizyjne. Ulokowano naszą kompanię w dwu namiotach. W jednym starszy rocznik, w drugim młodszy. Ponieważ starszy rocznik był o połowę słabszy, odgrodzono kocami miejsce dla podoficerów. Pomiedzy starszym rocznikiem był fryzjer kompanii. Była to sobota. Wszystko co żyło, spieszyło na rozrywkę do *Varietes*. Ja poszedłem pod namiot starszego rocznika do fryzjera. Czekając w ogonku jako ostatni, odchyliłem koc do przegrody dla podoficerów. Na haku wisiał hełm i pasek z bagnetem. Wyczyszczone, przygotowane na połysk na następny dzień. Opanowała mnie złośliwa chęć spleatania figla. Ten kurczybyk [!] naszykanował nie tylko mnie, ale wszystkich trzech Polaków jeszcze więcej. Odpiąłem z hełmu kokardy *Schwarz weis rot* i pasek podbródkowy. Z pasa wysunąłem szlufkę skórzaną, na której wisi bagniet, no i zamek pasa z napisem „*Gott mit uns*”. To wszystko wcisłem

[!] w kieszenie i zakopałem w piachu pod barakiem, gdy fryce byli na rozrywce.

Rano o godz. 3.30 pobudka, a o 4. wymarsz na ćwiczenia. Robiło się jasno. Dowódca kompanii kapitan Beckmann (prawdziwy polakożerca) zbliżał się do kompanii stojącej w szeregu przed namiotami. Kapral Bartmann latał za Meierem (komorowy w stopniu plutonowego), prosząc go o wydanie zastępcze skradzionych mu rzeczy. Meier mógł to uczynić, lecz odmówił, bo Bartmanna też nie lubił. Zażądał pisemnego zarządzenia. Bartmann pobiegł do kapitana, przytrzymując lewą ręką koniec paska i złożył meldunek o kradzieży. Kapitan Beckmann poczerwieniał jak rak, podniósł się nieco nerwowo w siodle i krzyknął: „Szósta kompania baczność! Skazuję kaprala Bartmanna za nieprzepisowe zjawienie się do służby na 3 dni aresztu średniego! Karę odbędzie w koszarach”. Bartmann przedstawiał w tym momencie istotnie figurę pożałowania godną.

Po powrocie do koszar w Mühlheim zwyczajne ćwiczenia na poligonie. Tam nastąpił kolejny wpadek Bartmanna. Przyszło to niespodziewanie. Bartmanna wysłano z jego drużyną jako szpicę kolony będącej w marszu. Jadący z tyłu major, dowódca batalionu, krzyknął nagle: „Z lewej strony atakuje kawaleria”. Zaskoczył tym kaprala Bartmanna tak, że już całkiem zgłupiał, komenderując oddział: „Stój! Czworkami na lewo biegiem marsz! Marsza w prawo i lewo w tyralierę biegiem marsz!” — „Halt!” — krzyczy z tytułu major Zammel. Podjechał bliżej do oddziału i mówił: „Kto z rekrutów potrafi to zadanie wykonać prawidłowo — wystąpi!” Ponieważ nikt się nie ośmielił, wystąpiłem 3 kroki naprzód. „Umiecie to? — zapytał”. „Tak jest panie majorze!” — „Zaprowadźcie oddział na miejsce wyjścia!” Gdy z punktu wyjścia uszliśmy około 50 m major powtórzył zadanie. Daje komendę: „Oddział do strzału, czworkami na lewo, zachodź! Biegiem marsz! marsz! Ładuj, celownik 500 m cel, pal! po trzech salwach ogień pojedynczy!” Znów głos majora: „Kalwaria wycofuje się!” „Prześć — mówię — powstać!” Odprowadziłem oddział czworkami, ustawiłem w dwuszereg frontem do majora, wyprostowałem: „Baczność, w prawo patrz!” Podszedłem i salutując melduję: „Rozkaz wykonałem panie majorze!” Ten zwracając się do Bartmanna i nacierając na niego koniem, piniąc się ze złości, wy dobył szablę, zakreślił nią wiatraka ponad głową tak jakoś niezręcznie, że stracił sobie *Pickelhaube* z głowy, co go jeszcze więcej rozwścieczyło. Parskając, nawymyślał mu i lżył gorzej niż rekruta. Powiedział, że na wypadek wojny nie powierzy mu ani rotę, bo by mu ludzi węgubił. Dotrzymał słowa. Z chwilą wybuchu wojny przenieśli kaprala Bartmanna do taboru.

Na gwiazdkę 1913 r. trzech rekrutów zostało awansowanych na *gefreittra*. W tej trójce znalazłem się również ja. Przyczyniły się do tego wypadki, które wyżej opisałem, ale także ogólna znajomość tego, co nam wkuwano, jak i w służbie polowej. Absolutnie o to nie dbałem, gdyż wyczuwałem, że prędzej czy później podstawią mi nogę. Bartmann napaść na mnie *gefreittrów*, a nawet nasłał dwu kaprali. „*Den Pollak müssen wir kleinkriegen*” — jak się wyraził. Niepowodzenie Bartmanna cieszyło nas, kilku Polaków, więcej niż nowa lalka dziecko. Szukanami nie zdołali nas złamać. Oficerowie oraz wyższych stopni podoficerowie lubili mnie. Nadal byłem ordynansem sierżanta Oberländera.

Pewnego razu mówił do mnie, abym się pospieszył z obiadem i zaraz

do niego wrócił. Wobec tego po wywołaniu kompanii na obiad ustawiłem się w pierwszej czwórce na prawym skrzydle. Podoficera służby zastępował gefreiter Töpp. Gdy się ustawiły dwie czwórki, wypadł z koszar tambor (dobosz) i wcisnął się w środek pierwszej czwórki, tak że ja stałem jako piąty. Töpp patrzył na to, lecz nie zwrócił mu uwagi ani też nie kazał ustawić się według kolejności. Gdy cała kompania stała już prawie gotowa do odmarszu na obiad, Töpp — śmiejąc się ironicznie — kazał mi iść na koniec kompanii. Odpowiedziałem mu, aby to powiedział tamborowi (doboszowi), który wcisnął się w środek, zamiast — ustawić się kolejno. Odszedł na bok. Po chwili wrócił i szturchnąwszy mnie w pierś rzekł: *Schehr Dich nach hinten. Du verfluchter Pollak*".

Krew mi uderzyła do głowy. Trzepnąłem szwaba menażką w głowę. *Pickelhauba* spada mu z głowy ze złamanym rydelkiem. Gdy poprawiłem w goły łeb, padł na ziemię brocząc. Przybiegł kapral służbowy, wezwano kapitana. W kancelarii spisano protokoły. Żaden Niemiec nie potwierdził, że Töpp mnie popchnął i słownie ubliżył, choć wszyscy na to patrzyli. Podczas przesłuchań podałem wszystkie bolączki, fakty prowokacji, próby pobicia, szykany, ubliżenia i wyszydzania. Podałem również, dlaczego nie podałem mnie do ukarania Hufnagel, gdy mu odmówiłem wykonania rozkazu. Na pytanie, dlaczego nie zrobiłem doniesienia jeśli, jak twierdzę, byłem rzekomo szykanowany — odpowiedziałem: „Tacy, którzy się żalili, tych jeszcze więcej szykanowano, iż w końcu zastrzelili się lub powiesili, lub uciekli do legii francuskiej. Byłem również bliski wariacji choć pełnię służbę beznagannie. W tej chwili jestem pruskim żołnierzem i pragnę być równo traktowany, a na czynne zniewagi zareaguję chociażby to był oficer. Nim zdecydowałbym się na wariacki krok, podałbym szczegółowo wszystkie wypadki polskiej izbie poselskiej”?

Sąd wojskowy zwrócił sprawę do sztabu pułku celem rozpatrzenia i ukarania winnych w ramach jego kompetencji. Opinię miałem dobrą. Tylko sierżant sztabowy Schulc napisał w opinii: „*Ein schneidiger Soldat aber ein verbissener Pole*”. Otrzymałem trzy dni średniego i degradację na szeregowego. Natomiast Töpp tylko trzy dni i pozostał nadal gefreitem. Prawdziwy wzór pruskiej sprawiedliwości. Szykany stosowano nadal, lecz odmiennymi sposobami.

Latem 1914 r. wśród ludności cywilnej nerwowe poruszenie. Gazety się wysyłały, aby uzasadnić rację pruską. Zamordowanie austriackiego Ferdynanda rozdmuchano do takiej zbrodni, że Sarajewo stało się Sodomą-Gomorą dla bismarkowskiego prestiżu. Ładny pretekst! Musiała być wojna. W rzeczywistości dawno przygotowywali się do *Blitzkriegu*. Gdy w 1913 r. wzmocnili zaciąg rekruta, powiedziałem w koszarach: „Na przyszły rok mamy wojnę”. Wszyscy frycy zdziwieni pytali, skąd ja to wiem: „Bo gdy chamster czuje, że nadejdzie ostra zima, nanieś więcej ziarna do nory” — mówię.

Trzy dni przed ogłoszeniem mobilizacji nie wypuszczono nas z koszar. Oczywiście, w tym czasie pułk był już ubrany *feldmarszmäsig*. Entuzjastami tego, co miało nastąpić, byli tylko krzykacze. Obserwowałem twarze. Większa część fryców poważnie się zastanawiała nad dalszym wynikiem niepewnego porywu; zdradzała raczej zafrasowanie. Mamisyńki dyskutowali prawie całe noce, podtrzymując nadzieje, że wojna będzie zakończona w trzech miesiącach. Poza tym tak wojsko, jak i cywile wy-

rażali pewność, iż w Rosji wybuchnie rewolucja, z czym oczywiście wiązali nadzieje, że to im ułatwi uwolnienie od wschodu.

Na południe od Achen przekroczyliśmy rzekomo zagrożoną granicę. Kto zagrażał zostało tajemnicą i zagadką, gdyż wojska belgijskie spotkaliśmy w rzeczywistości dopiero pod Lüttich. Forteca ta uchodziła za niemożliwą do zdobycia. Tam użyli Niemcy Kruppa-cudo — „grubą Bertę”. Była to armata 42 cm. Oddała tylko jeden strzał. Forteca wysunęła białą chorągiew. Budowy tych dział zaniechano jako niepraktycznych. Następnie skierowano nas pod Namour. Tam został ranny dow. komp. kpt. Beckmann. Strzelec drgnął i drasnęło mu dwa żebra w prawym boku. Na drugi dzień wycofano kompanię z linii, gdyż chciał się z nią pożegnać. Zaczął od pochwały kompanii, po czym wyliczał, ile to już terenu Niemcy zdobyli; armat, różnego sprzętu. Pocieszał, że niedługo skończą. Strasznie żałował, że nie może kompanii prowadzić do zwycięstw. Wie jednak z całą pewnością, że to, co go spotkało, tego nie zrobiła nieprzyjacielska kula. Przy czym, kierując wzrok do przodu szeregu, wyrzucił: „*Nicht wahr Ewerding*”? Musketier Ewerding stuknął podkówkami i w sprężystej postawie odpowiedział beczelnie: „*Jawohl Herr Hauptmann*”. Każdy wyczuwał podejrzenie. Dowodu nie miał nikt.

Podczas tego przemówienia oberwałem osobiście. Nie słuchałem bredni tego „bohatera”, a spoglądałem na buty, których kilkanaście dni nie ściągałem z nóg. Tak samo robili inni, którzy żyć [!] w marszach nie dostali. Przyjął to jako lekceważenie. Naraz krzyknął: „*Stillgestanden*!” po czym dalej bredził, upajając się zwycięstwami. Po chwili dostrzegł u mnie widocznie jakieś drgnięcie, gdyż kazał mi wystąpić trzy kroki na przód. „*Wie heist er*” — zapytał. Powiedziałem mu moje nazwisko. „*Ich bestrafe Den Pollak M. mit drei Tagen*” itd. Karę wykonać dziś w południe!” — rzekł, zwracając się do sierżanta sztabowego. Wyprowadził mnie kapral na wzniesienie do stanowisk artylerii i przywiązał do koła przyczepy z amunicją. Trzy dni aresztu koszarowego na froncie, to stać przywiązany do drzewa lub woza przez 3 godziny. Bateria była ostrzeliwana, jednak chyba połowa pocisków to były niewypały. Badali je artylerzyści, przy czym okazało się, że pociski te fabrykowała firma Kruppa w Essen. Po trzech godzinach odwiązał mnie kapral i natychmiast odmarsz z kompanią w kierunku następnej fortecy francuskiej: Maubeuge. (...)

W drodze do Maubeuge zakwaterowano pułk 159 w małym miasteczku belgijskim Vouciers. W nocy strzelanina rozszerzająca się na całe miasteczko. Niemcy rozgłaszali, że partyzanci (*Franktireurs*) strzelają do wojska czy posterunków. Wszystkie formacje wycofano poza miasto. Na wzgórzach ustawiono artylerię i Niemcy udowodnili, jak humanistycznie wojują z cywilną ludnością. W rzeczywistości nie było tam ani jednego francuskiego żołnierza, ni partyzanta. Posterunki niemieckie strzelały do swoich fryców, którzy w nocy rabowali mieszkania, biorąc ich za partyzantów. Niemcy nawzajem ostrzeliwali się, co doprowadziło do masakry. Forteca Maubeuge trzymała się bardzo krótko. Niemcy w sile 12 tys. otoczyli załogę liczącą 42 000 Francuzów, Marokańczyków i Senegalczyków. Dowodzący tą załogą generał został po wojnie skazany na dwa i pół roku, lecz winien był siedzieć najmniej 20 lat. Zajmowaliśmy tam stanowiska i umocnienia polowe nie tknięte ogniem artyle-

rii. Po poddaniu się załogi wojsko szło marszem pod Antwerpię. Doszliśmy tylko do Mons (Belgia). O 1. w nocy nagły alarm i odmarsz pod Paryż marszem forsownym ratować młodego Wilhelma, któremu Klemenko sprawił takie lanie, że stracił całą artylerię. Pierwszego dnia pod wieczór co słabsi odpadali. Dowódca 2. batalionu podjeżdżał do poszczególnych kompanii, zachęcając do marszu. Maruderów zbierał po rowach porucznik, grożąc pistoletem w rękę. Lekarz przecinał pęcherze i marsz do przodu. Major, jadąc obok naszej kompanii, przystanął mówiąc: „Czy wiecie chłopcy dokąd idziemy?” „Nie” — odzywają się głosy. Zawrócił mówiąc: „Wnet się dowiecie”. Po chwili znalazł się ponownie obok, mówiąc: „Lord Żorsz głosi, że wojna się skończy w 1918 roku”. „Verrückt” (idiota), odpowiadają z kompanii. Lord Żorsz kalkulował zimno. Mnie błysnęła myśl w jednym słowie: „Z kapitulacją”. Jednocześnie pomyślałem, czy też ktokolwiek z tych ludzi wróci do domu i rodziny 1918 r.?

Z kierunku Mauks wyskoczyła przed nami artyleria lekka: „Ach, zaraz będzie gorąco!” Artylerzyści wypukali, co mieli i wieją z powrotem. Nie zdołaliśmy wygrzebać zagłębień w ziemi, a już padł rozkaz, wycofać się i zbierać w kolumnę marszową. Dwu Niemców i mnie wysłano jako ochronę po prawej stronie kolumny marszowej. Weszliśmy w wysokie las mieszany. W pewnej chwili wyprysło spoza krzewów orzeszyny 3 dragonów francuskich. Był to patrol, który dostał się na tyły szwabów. Nie zdążyłem przyłożyć broni do oka, strzeliłem z odległości około 10 m i chybiłem. W tej chwili cios. Zdażyłem podrzucić karabin w górę, aby ochronić głowę. Ciął w zawór komory, z której sprężynka wyrzuciła naboje. Stałem bezbronny. Nim zawrócił, zdażyłem skoczyć pod konary rozłożystego drzewa bukowego. Wówczas dał drapak. Dwaj Niemcy strzelili również bezskutecznie. Gdy las się skończył, Niemcy zajęli wzniesienie. Baterie francuskie podjechały i tak celnie obrabiały fryców szrapnelami, że nie wytrzymali. W nieładzie uciekali za górkę, gdzie był ostry spad terenu, a potem łąki. Pułkownik Krewel daremnie usiłował wstrzymać grupy uciekających z szablą w prawej i pistoletem w lewej ręce. Przewrócili staruszką. Był to 70-letni ochotnik, hakatysta z Prus Wschodnich. Przypadło mi biec przez gołe łąki. Z odległości około 300 m przycisnęły nas w trawę kulomioty. Rzuciłem się w rowek wypełniony brudną wodą, wychylając jedynie usta. Po około godzinie nastąpił mrok i mgła. Ledwo się wygrzebałem, ręce i nogi bezwładne. Zbierano pułk i popychano w kierunku Szampanii, aby zapobiec okrążeniu. W okolicy Retel duże straty. Dowódca kompanii wyznaczył nas czterech do odniesienia do punktu sanitarnego rannego porucznika. Wracając nie zastaliśmy pułku. Został wycofany do uzupełnienia. Idąc w tym kierunku w linii frontowej, zostałem ranny. Nareszcie szpital. Po wyleczeniu przydzielono mnie do 1 batalionu muszkietowców. Była to broń 25 strzałowa, nadająca się świetnie do odpierania ataków. Jesienią 1917 r. znów rann i szpital. Po wyleczeniu uznano mnie za niezdolnego na front. Jako rekonwalescenta przydzielono do formacji odwachowych w Sigerland. W Eizerfeld (zagłębienie rudy żelaznej) otrzymałem nadzór nad grupą jeńców wojennych obsługujących wysokie piece. W grupie 24 jeńców było dwu Francuzów, trzech Anglików, dwu Polaków z carskiej armii, reszta — Rosjanie. Jeden Francuz nazwiskiem Renee i Anglik mówili łamańcze [!] po niemiecku. Polak Gola pochodził z Lublina, a Mikołajczak z

Warszawy. Wszczynałem z nimi dość często dyskusje na temat przyszłej Polski. Klarowałem im położenie polityczne, działalność Piłsudskiego wraz z Niemcami, wyjaśniałem, że szwabów głód zmusi do kapitulacji, objaśniałem frontowe położenie, ale nie zauważyłem najmniejszego zainteresowania z ich strony. Na mapie nie orientowali się w ogóle. Sami nigdy nie podjęli tematu o sprawach narodowych. Francuzi i Anglicy otrzymywali paczki żywnościowe przez Czerwony Krzyż, Rosjanie nigdy. Polak Gola, któremu dawałem dość często całe moje obiady, które otrzymywałem z zakładu, nazywał mnie i tak skurwysynem. Nie miałem mu tego za złe. Może mi nie ufali.

Na święta Bożego Narodzenia Niemcy chcieli wprowadzić przymus do pracy w niedziele i dni świąteczne. Pouczyłem jeńców, jak należy postąpić, gdyż inaczej zarządzenie to wprowadzono by na stałe. W pierwsze święto nie wyszedł z baraku ani jeden jeńiec, a było ich w tym obozie około 400. Sierżant służbowy wpędził wszystkich posterunkowych do baraku, aby pomogli kolbami od tyłu. Wypchnięto ich, lecz po doprowadzeniu do pracy ani jeden się nie ruszył. Na meldunek do obozu telefonem sierżant służbowy odpowiedział, że inne grupy też się zbuntowały. Usłyszał: „Postawić ich w śniegu 2 godziny, jeśli potem nie podejmą pracy, przyprowadzić bandę do baraku!” Odtąd szwabowie nie próbowali użyć przemocy.

Naboje do pieców przygotowywali przeważnie Francuzi wraz z Anglikami. Widziałem, jak fałszują zestaw surowców. Zamiast 6 lub 8 wózków koksu i węgla oraz topnika (wapień) dawali po dwa wózki mniej, a w to miejsce tyleż więcej surówki, rudy czy pirytów, lub łomu żelaza. Wiedząc co z tego wyniknie, zgłosiłem mistrzowi, aby uważał na jeńców przy piecach, gdyż udają się w góry, gdzie inna grupa jeńców pracowała przy planowaniu [!] szlaki wywożonej kolejką linową. Zapewniałem sobie w ten sposób alibi w razie awarii. Przy planowaniu (1 km od zakładu) zastałem tylko dwu, czterech znalazłem w młodym zagajniku na zboczach gór. Szli rzędami drzewek, oblamując oboma [!] rękami wierzchołki młodych sosen. Tak wspierali gospodarze *Grossdeutschland*. Następnego dnia około najnowszego a zarazem największego pieca rwetes. Zleciał się zarząd zakładu, inżynier i majstry. Piec stygł. Wmontowano dwie dodatkowe dmuchawy. Nie pomogły. Dynamitem go rozsadzono. Francuz Renee Johan zacierając ręce, śmiejąc się, mówił do mnie: „*Posten, viel eisen viel kameraden kaput. Teraz mogą dmuchać psu in arsch*”.

Z początkiem stycznia 1918 r. decyzją komisji wojskowo-lekarskiej uznany zostałem inwalidą wojennym o ograniczonej zdolności zarobkowej na stałe. Zostałem bezterminowo urlopowany do pracy w kopalni w Bottrop, gdzie przed wojskiem przepracowałem 2 miesiące. Rentę wojenną ustalono mi w kwocie 58 marek miesięcznie. Na dokumenty miałem czekać 14 dni.

Gdy wróciłem z badania, powiedziałem Francuzowi Renee, że niedługo będę zwolniony. Prosił mnie, abym mu się postarał o mapę i kompas. Kupił i przysłał mi je starszy brat Jan, który również jako inwalida wojenny pracował w kopalni. Po dwu tygodniach zostałem z posterunku odwołany. W dniu odjazdu wręczyłem Renee dwie mapy strategiczne i dwa kompasy. Na moje pytanie, czy chce zaraz wiać, odpowie-

dział: „Za dwa dni”. Dotrzymał słowa. Jeńcy zegnali mnie jak brata. Odwołany zostałem do batalionu rezerwowego w Meschede. Po kilkunastu dniach czytałem w „Mescheder Zeitung” relację o ucieczce z obozu pracy w Eiserfeld trzech Anglików i dwóch Francuzów. Anglików przyłapano na granicy holenderskiej. Aż do Düren dojechali wagonem krytym załadowanym wapnem. O Francuzach nie pisano nic, obrali inny kierunek. Nareszcie wręczono mi dokumenty. Czuję się wolny. Na tym zakończyłem moją działalność pomagania Frycom wygrać wojnę (...).

Wyżej wspomniałem, że w 1915 r. wcielony zostałem do batalionu muszkietowców (*Musketen Bataillon*) organizowanego w Mainc nad Menem. Tuż przed wyjazdem zaprowadzono nas pod komendą do spowiedzi. W kościele przypadło mi spowiadać się u księdza niemieckiego siedzącego na zwykłym krzeselku z powodu braku konfesjonałów. Staliśmy w kolejce. Gdy przyszła kolej na mnie, ustąpiłem na bok, dając następnemu możliwość przejścia do spowiednika. Ksiądz zauważył to i przywołał mnie ręką do siebie. Podeszedłem i stanąłem. Spojrzał na mnie. „No, klękaj i wyznaj swoje grzechy” — mówi. „Postanowiłem nie spowiadać się nigdy księdzu niemieckiemu” — mówię. „Dlaczego? — pyta — czy jesteś niewierzący albo niekatolik?” — „Bo jestem Polakiem, a księża niemieccy swym wrogim postępowaniem w stosunku do Polaków wzbudzili we mnie taką odrazę, że nawet na kazanie do kościoła nie wstąpię, gdy je wygłaszał będzie ksiądz niemiecki”. Wymiana zdań przeciągnęła się. Wyliczałem mu wszystkie zapamiętane wypadki szczucia przeciwko Polakom, a nawet nadużywania w tym celu ambony. W ślad za antypolskimi ustawami Bismarcka i całego rządu rugowanie Polaków z ojczystej ziemi, na której nie wolno Polakowi domu mieszkalnego postawić, by go zmusić do opuszczenia tej ziemi, szykany nieludzkie; wyszydzanie, poniżanie, gnębienie jest najwyższym celem władz i całej prasy, do czego włącza się pilnie katolicki kler niemiecki. Wygarnąłem wszystko, co mi na myśl wpadło. Wspomniałem nawet list Bismarcka do jego siostry, w którym pisał: „Jeżeli my (Niemcy) chcemy żyć, musimy wytepić Polaków”. Wybadał, czym są moi rodzice, jaki mam zawód, pouczał, nakłaniał, przestrzegał, że idę na front i o wypadek nie trudno, że mam myśleć o duszy; podobne poglądy mają zaś wrogowie Kościoła — komuniści.

„Nie jestem komunistą ani wrogiem Kościoła, mówię tylko prawdę, lecz nie mogę przyjąć Boga z rąk jego zastępcy, czyli księdza, jeśli żalu do niego ze serca usunąć nie mogę. Szczere pojednanie się z Bogiem odprawiam każdy dzień i sumienie daje mi spokój. Niemcy celowo robią z nas wrogów, a bogacą się naszą pracą. Księża niemieccy pomagają rządowi w gnębieniu Polaków, a w ewangelii głoszą: „miłujcie nieprzyjaciół waszych”. Przytoczyłem też czyn młodego katolickiego księdza, który jako przewodniczący *Deutsch Katholischer Jugendbund* postawił na kiermaszu w Stergrade budę ze starych desek z napisem „*Polnische Wirtschaft*”. „Tak wyszydzacie Polaków zdzieranych podatkami po to, aby Niemcom osiadłym na polskich ziemiach wypłacić *Ostzulage*”. Nie próbował przeczyć. „To jest moja szczerza spowiedź” — mówię. W końcu rzekł: „Nie widzę w tobie złego człowieka, uklęknij synu i bij się w piersi, ja ci daję rozgrzeszenie. Nigdy bym nie przypuszczał, aby człowiek w tym wieku, takiego stanu mógł rozważać takie sprawy”. Tak

odpawiłem przymusową spowiedź. Nigdy też dotąd nie wychodziłem z kościoła z tak lekkim sercem.

Z dniem podjęcia pracy w Bottrop rozpocząłem też odnowę starych przedwojennych znajomości. Wśród górników, w znacznej części reklamowanych od służby wojskowej, straszne przygnębienie. Nikt nie odważył się upomnieć o polepszenie swych warunków życia, bo każde słowo uważane być mogło za bunt. Wówczas reklamacja mogła być cofnięta, a ofiara poszłaby na front. Kwestia żywnościowa była gorsza niż w wojsku na froncie. Wyczuwało się wszędzie bliski koniec. Górnicy padali przy pracy z wycieńczenia. Chleba prawie nie szło jeść. *Durrgemüse*, pe-luszka z kąkołem i łuskami owsianymi oraz 50 g tłuszczu (*Affenfett*) dziennie dla pracujących. Niemcy coraz mniej mówili o przyłączeniu do *Reichu* francuskiego zagłębia przemysłowego. *Deutsche Frauen* i *Deutsche Treue* gwałtownie się rozluźniały. Nam sokołom słowo „wolność” pierś rozpie-rało, serce rosło. Chłopaki samorzutnie przychodzili na ćwiczenia. Rewolucja. Rewolucja leninowska, po której Niemcy spodziewali się tyle ulgi, rozwiła nadzieje.

Pomruki buntu w kraju coraz jawniejsze. Tak nadszedł 11 listopada i koniec rzezi na frontach. Wiluś zabrał złoto i zwiął do Holandii. Zbuntowana marynarka parła w zagłębie przemysłowe. Znalazłem się na rynku w godzinach popołudniowych. W tym momencie wjeżdża kilka aut ciężarowych z marynarzami, na rękawach czerwone opaski. Sunęli gromadnie w kierunku ratusza i poczty. Następnego dnia afisze, odezwy wzywające rezerwistów i górników do zgłoszenia się po broń do walki z kapitalistami. Pojechało nas kilku (grupkami) do koszar w Mühlheim. Każdy ubrał się w nowe uniformy, fasował karabin i 300 naboji. Zamiast do spartakusów, rozważał, jak dostać się do ojczyzny. Na zebraniu Sokoła tegoż dnia postanowiono wyruszyć małymi grupami do Polski, gdyż transporty demobilu strasznie przeładowane. Do wagonu nie dostał się nikt. Nawet dachy wagonów zajęte były przez wracających z Francji frontowców. Wcisnąłem się pod budkę hamulcową i stojąc na zderzakach, dojechałem do Berlina; tam dostałem się do wagonu. W Poznaniu, jak na zachodzie Niemiec, rady żołnierskie. Wciskali się tam Polacy. Odnosili się do Niemców zuchwale, a nawet zadziornie. Żołnierz zwykły czekał, był gotowy, nie było dowódcy, aby ująć bractwo w jeden szyk. Naczelna Rada Ludowa wyczekiwała, aż Liga Narodów wspaniałomyślnie da Polskę. Niemcy wzmacniali garnizony. Na drugi dzień ruszyłem w kierunku Kępna do rodziny. Czterech braci Niemcy zrobili żołnierzami. Wróciliśmy, lecz jako inwalidzi. Mąż jedynej mej siostry i jego dwaj bracia polegli. Serce mi pękało, gdy zobaczyłem młodszego brata, który jako 17-letni chłopak wysłany został na front francuski i strasznie zharatany, nim Francuza zobaczył.

Po rozpatrzeniu się w sytuacji na wsi coś mnie głęboko zatrwożyło. Zastanawiałem się, skąd ta obojętność, ospałość klas posiadających i nie-licznej na wsi inteligencji. Wszystko jakby sparaliżowane potęgą szwabów. Łudzili się nadziejami, ulegając wyczekiwaniu, jak Rada Narodowa. Wracająca po wojnie młodzież wychódca wniosła dynamikę i budziła poczucie narodowe oraz natychmiastową gotowość do czynu. Na zabawach rozległy się tylko śpiewy narodowe i bojowe sokołów wychódczych. Nastąpiło ożywienia. Dołączała miejscowa młodzież robotnicza i chłop-

ska. Miasta garnizonowe przygotowywały się do opanowania koszar. Ostrzeszów powołał na komendanta por. artylerii Thiela, właściciela majątku z Doruchowa. Napływali ochotnicy. Dowództwo I kompanii otrzymał sierżant Jerchel z Ostrzeszowa. Udałem się do komendy w listopadzie 1918 r. Podczas rozmowy proponowałem, by zebrać po wioskach ochotników i ruszyć na Kępno. „Z czym — mówił do mnie por. Thiel — z tą garstką? Nie wiedząc, co jest w Kępnie i na tyłach?” — „Pojadę i zobaczę” — mówiłem. Zrozumiałem z rozmowy, że moje propozycje przyjmowane były z rezerwą. Byłem przecież zwykłym żołnierzem. Wyjechałem z domu jako niespełna 17-letni chłopak. Po 10 latach nikt mnie tu nie znał. Legitymowałem się jako wychodźca z Westfalii, których tu uważano za półkomunistów. Na bliższe poznanie się nie było czasu. Wyjechałem na własne ryzyko do Kluczborka. Tam stał batalion *Grenzschutzu*, który można było rzucić w każdej chwili do Kępna czy Namysłowa. W Kluczborku zetknąłem się z plutonowym nazwiskiem Zajac, z Bytomia. Przed wojną pracował ze mną w tej samej kopalni w Bottrop. Do spartakusów nie chciał iść, a *Grenzschutz* lepiej płacił. Na pytanie, co tu robię, mówiłem: „Szukam młodszego brata. Służył w Berlinie, teraz jest w *Grenzschutzu* na odcinku Kluczbork-Namysłów. Gdy brata odnajdę, wstąpię do jego jednostki”.

Zjadłem obiad z kuchni polowej, otrzymałem przepustkę na wolny przejazd. W Namysłowie stała kompania. Kluczbork czekał na artylerię. Fakt ściągania posiłków do garnizonów i na pogranicze (tkwił w tym nacisk hakaty i pruskich junkrów) dowodzi, że szwaby ani myślą o odstąpieniu ziem polskich. Liczyli, że 13 punkt warunków pokojowych Wilsona nie będzie stosowany na tych terenach. Natychmiastowe przeciwdziałanie było konieczne, rozumiał to każdy powstaniec. Moim zdaniem, największy błąd popełnili organizatorzy Straży Ludowej. Żadna straż nie była potrzebna, trzeba było tylko zajmować wioski i wszystkich zdolnych włączać do szeregów. Niepotrzebne rozproszenie sił.

Wracając z Namysłowa przez Kępno, rozmawiałem ze znajomymi chłopakami, jak Kaźmierczak, Przybył i inni. Było ich najmniej 20, którzy byli gotowi wszcząć wewnątrz zamęt na wypadek naszego ataku z zewnątrz. Zajęcie Kępna było całkiem realne, gdyby nastąpiło natychmiast. Złożyłem por. Thielowi sprawozdanie z moich obserwacji w Kluczborku i Namysłowie, niestety — dalsze wahanie. Rozpocząłem organizowanie chłopaków na własną rękę. W Mechnicach na zabawie wystąpiłem z przemówieniem do gromadki chłopaków, przy czym przedstawiłem ogólnie położenie w kraju, nastroje w miastach garnizonowych, tworzenie tam grup ochotników i zajmowanie przez nich koszar, rozbrajanie Niemców i zdobywanie broni.

„Najwyższy czas abyśmy sami pomyśleli o tym na wsi, gdzie jest mniej Niemców. Najwyższy czas, abyśmy się ruszyli razem w najstosowniejszej i najdogodniejszej dla nas chwili, gdyż Niemcy wzmacniają załogi na naszych ziemiach i nie myślą o opuszczeniu tego, co nam zabrali. Jeśli nie weźmiemy się zaraz do broni, zginiemy w wiecznej niewoli. Dość gnębienia, szykan i poniżania. Jeśli sami się nie uwolnimy w krótkim czasie, żaden z nas nie będzie właścicielem własnej ziemi. W Ostrzeszowie ochotnicy utworzyli już pierwszy pluton, który skutecznie

odpiera Niemców. Nie możemy się biernie przyglądać i czekać, co nam Liga Narodów przyzna”.

Na to odpowiedział mi jeden z najzamożniejszych z Mechnic synów chłopskich: „Na wojnę niech idą biedusy!” Był to Wojciech Dymacz, syn chłopa właściciela 20 ha gospodarstwa. On jak i jego brat oraz szwagier Wincenty Cierlak opuścili grono słuchaczy. Podziałało to bardzo nieprzychylnie dla sprawy ochotniczej. Później, po ogłoszeniu poboru pobrani zostali oboje bracia Dymacze; nie poszedł jednak ich szwagier Cierlak, choć także był w tym wieku. Chyba urojona wyższość, pycha nie pozwoliła im łączyć się z robotnikami. Niektórzy nazywali ochotników awanturnikami szukającymi przygód. Zmienili zdanie, gdy powstanie się rozszerzyło.

W drugiej połowie grudnia, wracając z wioski, siostra mówiła do mnie: „Józef, za stodołą stoi trzech Niemców, patrzą przez lornetkę w kierunku Rudniczyska i Torzeńca. Pewnie przyjechali po ciebie”. Skoczyłem na strych po karabin. Gdy wróciłem na podwórze, już jechali kłusem w kierunku szkoły. Strzelać nie mogłem z uwagi na chodzących po szosie ludzi. Biegłem za nimi licząc, że może zatrzymają się na zakręcie koło szkoły. Nim tam dobiegłem, już byli poza odległością strzałową. Gdy wracałem do domu obok zagrody sołtysa (Solecki Antoni), ten wychylił głowę ponad płotem i mówi do mnie: „A ten co się tak szwenda z tym karabinem po tej wsi, jeszcze przyjadą i spalą nas tu doszczętnie, aresztować go!” — „Ty cholerny sługusie szwabski — mówię — ja cię zaraz zaaresztuję!” — i odbezpieczając karabin skoczyłem z nim. Sołtys dał nura za płot i uciekając krzyczał: „Ludzie ratujta!” Schował się w stodole. Nie chcąc się wdawać [!] z bałwanem, zawróciłem do domu, mówiąc do jego baby krzyczącej na podwórzu, że się jeszcze z nim policzę.

Parę dni przed tym zjawił się w domu rodziców żandarm Zakrzewski z Wyszana, pytając o mnie. Matka wysłała młodszego brata, aby mnie ostrzegł. Wziąłem w kieszeń granat jajkowy i wszedłem do mieszkania. Pierwsze jego pytanie było, co to za odznaka, którą mam na czapce. „Dziwi mnie to pytanie — mówiłem — gdyż policja pruska zna doskonale polskiego orzelka”. — „Zajmujecie się sprawami wojskowymi!” — pytał dalej. „Tyle samo co wy, byłem także pruskim żołnierzem”. „Macie książeczkę wojskową?” Podąłem mu. Zapisał coś w notesie i poszedł. Parę dni później spakował się do *Reichu*.

Ze mną poszli z początkiem stycznia, aby dołączyć do ochotników w Ostrzeszowie: Banasiaki Antoni i Jan, Spigiel Michał, Szczęsny Waclaw, i Solecki Wincenty z Mechnic. Z Mikorzyna dołączyli: Bławaska Julian, Otton i Idzi, Szczepaniak Franciszek, Caliński Aleksander, dwaj bracia Krowiccy i Cepa Antoni. Mogło pójść jeszcze raz tyle. Wysłano nas do Grabowa, gdzie tworzone drugą kompanię 12 Pułku Strzelców Wielkopolskich. Gdy zebrało się 40 ochotników, przerzucono nas do Emilianowa pod Doruchowem. Dowódcą 2. Kompanii został sierżant Wężyk, syn właściciela majątku. Tutejsi chopcy twierdzili, że Wężyk w czasie I wojny siedział na poczcie w Wyszana, jako telefonista w stopniu gefreitra. Ile w tym prawdy było, nie interesowało mnie. Kompanię podzielono na sekcje. Do tej, która powstała z grupy naszych ochotników, dano jako sekcyjnego Banasiaka Antoniego, syna właściciela majątku Mechnice.

Następnego dnia przy ćwiczeniach na podwórzu kazał nam maszero-

wać marszem ćwiczebnym, jak na paradzie przed Wilusiem. Doszliśmy do płotu, kopimy w płot, gdyż Banasiak nie znał absolutnie komendy i nie wiedział, co dalej robić lub mówić. Powołany był pod sam koniec wojny przez Niemców, lecz zachorował na rypsturę i w szpitalu zakończył wojnę. W południe chłopcy zbuntowali się, napadli na mnie z wymówkami: „Gdzieś ty nas tu przyprowadził. Idziemy do domu lub do innej formacji, czy oni chcą z nas kukwy [!] porobić? Chodź z nami do kancelarii, niech nam przydzielą innego”. Dla mnie była ta sprawa głupio nieprzyjemna z tego powodu, że wpłatywała się sprawa w moją rodzinę. Mianowicie mój kuzyn ożenił się z siostrą Banasiaka. Nie chcąc dopuścić do rozbitcia, poszedłem z nimi. Na pytanie sierż. Węzyka: „Co chcemy?” — chłopcy wypchli [!] mnie naprzód mówiąc: „Józef powiedz, o co chodzi”. Przedstawiłem sprawę otwarcie, że ci chłopcy mają za sobą cztery do sześć lat nieprzerwanej służby koszarowej i frontowej. Nie chcą słuchać rekruta i domagają się innego sekcyjnego. „Dobrze — powiedział Węzyk — jutro dostaniecie innego, a Banasiak wysłany zostanie do Szczypiorna na wyćwiczenie”. Wówczas wyrwał się naprzód Blewaska Otton mówiąc: „My nie chcemy innego, mamy tu Mikołajczyka, który był st. szer. w niemieckiej armii, on nas tu przyprowadził”. Węzyk zwrócił się więc do mnie: „Byliście st. szer., dlaczego nie zgłosiliście tego?” — „Bo zostałem zdegradowany za to, że Niemcowi potłukłem łeb, bo mnie popychał i obraził”. — „Od jutra obejmiecie sekcje”. A do chłopaków mówił: „No, więc macie teraz swego”. Jak wyżej wspomniałem, w Emilianowie zajęliśmy kwatery w szkole.

W drugiej połowie stycznia 1919 r. strzelanina. Wystawione nasze posterunki strzelając, cofają się do szkoły. Niemcy w sile plutonu wzięli pod ostrzał wyjście budynku — naszej kwatery. Wyjście zablokowane. Krzyknąłem na moich chłopaków i przez okno od podwórza dostaliśmy się na wolne pole. Biegłem z drużyną półkołem, aby Szwabom odciąć drogę. Leżała niegruba warstwa śniegu. Niemcy zauważyli nasz manewr, siedli na rowery (był to pluton rowerzystów) i wiali czym prędzej w kierunku Kępna. Skutecznie brać coś na cel było niemożliwe na skutek mgły. Pierwsze zetknięcie się z Niemcami skończyło się na strzelaninie bezskutecznej. W tym kierunku *Grenzschutz* się więcej nie zapuszczał. Czasu wolnego było dużo. Powstańcza brać rozlażała się po zagrodach, najwięcej gdzie były „dziołchy”.

Czwartego lutego nagły telefon. Administrator majątku Torzeniec po- dał krótko: „Niemcy przyjechali w sile około kompanii; rabują spichrze, mają kulomioty”. Na tym koniec meldunku. Dowódcy sekcji sami działali. Skoczyliśmy do najbliższego gospodarza, wypręgli konie z maneża i założyli do wozu. Jazda ile koń wytrzyma przez Rudniczysko do wsi Torzeniec, tzw. Babiniec. Stanęliśmy pod zagrodą niejakiego Sikory, gdzie przed nami przyjechała pierwsza sekcja. Dowodził nią kapral Kawka (marynarz). Zaproponował on natychmiastowy atak z frontu. Niemcy zajęli pozycje w rowkach przy drodze prowadzącej od skrzyżowania przed majątkiem do zachodniego końca wsi Babiniec, na wzniesieniu. Po wychylających się głowach szacowaliśmy ich na co najmniej 60 piechurów. Gdzieś zza wzniesienia zostaliśmy ostrzelani szrapnelami. Dzieliła nas gładka przestrzeń bez możliwości krytego podchodzenia. Mówiłem więc do kapr. Kawki: „Mamy tylko po 25 naboju, utknijemy”. Ponieważ jednak powstań-

cy rwali się do walki — ruszyliśmy. Zdołaliśmy wykonać zaledwie dwa skoki, gdy Niemcy przycisnęli nas do ziemi gwałtownym ogniem kulomiotów. Armatka siała szrapnelami. Kawka uznał swoje ryzyko. „Wycofać się pojedynczo!” — wołał. Poszło to bez strat. Za zgodą kapr. Kawki zabrałem dwu ochotników i obszedłem lewe skrzydło Szwabów. Podeszliśmy od tyłu stanowisko armatki na odległość około 450 m. Po pierwszych strzałach jeden z obsługi został ranny i począł uciekać w kierunku majątku. Reszta obsługi ukryła się za armatą, ostrzeliwując nas z karabinów. Nie dopuściliśmy załogi do używania armaty, poza tym ostrzeliwaliśmy prawe skrzydło niemieckiej piechoty, które z tego miejsca było od nas około 500 m. W tym momencie nasi ponowili atak z frontu. Uciekający w kierunku majątku ranni Niemcy szerzyli popłoch wśród swoich. W tej samej chwili zauważyliśmy zaprzęg pędzący po armatę. Amunicja nasza była prawie na wyczerpaniu. Tylko jeden koń padł, szwaby uciekali z armatą. Jak się później okazało, druga połowa niemieckiej piechoty zajęła pozycje za zabudowaniami majątku Torzeniec, na przeciwko wschodniej części wioski Torzeniec (tzw. „Stary Pan”). Wobec tego nasz dowódca sierż. Wężyk skierował połowę ochotników przeciw lewemu, drugą połowę przeciw prawemu skrzydłu niemieckiemu z kierunku „Stary Pan”; tam wspierała niemiecką piechotę druga armata. Nasi ochotnicy zostali wspierani przez kilku chłopów z karabinami z miejscowej Straży Ludowej i trzech uzbrojonych w widły. W samym majątku Torzeniec Niemcy sterrowali administratora Srokę i pracowników majątku, zmusili ich do załadowania kilku wozów zbożem i zdołali zbiec z łupem do Podzamcza. Nasza kompania zajęła tegoż dnia Torzeniec. Następnego dnia Mechnice i Mikorzyn oraz Domanin, wieś oraz stację kolejową. Według twierdzeń administratora Sroki i jego pracowników Niemcy zabrali ze sobą czterech zabitych i od 10 do 12 rannych. Z naszej strony strat nie było. Ciężko ranny został w swoim mieszkaniu chłop Sikora na skutek ostrzału jego zabudowań artylerią; zmarł tegoż dnia. Zaopatrzenie w amunicję odtąd się poprawiło.

Po zajęciu Mikorzyna (bez walki) sierż. Wężyk zarządził apel, na którym odczytał zarządzenia odnośnie zaopatrzenia i kwater. Następnie powtórzył zakaz kłusownictwa, podkreślając surowe kary za to tak wojskowe, jak i sądowe. Poza tym ogłosił zakaz śpiewania piosenki: *Gdy naród do boju*. Wówczas to prawie cała kompania wybuchła śmiechem, tak że z trudem opanował sytuację. Kto taki rozkaz wydał, tego nie powiedział. Po apelu w kwaterze zaintonowano oczywiście najpierw tę pieśń. Nie był to już śpiew, lecz ryk, aż się mury trzęsły. Innych pieśni odtąd nie śpiewano. Ten zakaz był odtąd tematem do żywych dyskusji każdy (!) dzień do późnej nocy. Blewaska Józef mówił do mnie: „Józek, a co ty myślisz o tym?” — „Nic nie myślę, tylko aby się z frycami szczęśliwie skończyło. Widzisz jak nas opanowali? Już się parchy czują pewni siebie, a jeszcze się ze szwabami nie skończyło”. Szczepaniak Franek rozwija dalej, mówi: „Niedługo będą nas rozciągali na snopkach, a włodarze wymierzą ci 50 batów na dupę z rana, a wieczorem 100. Zapytałem go, czy też naprawdę dałby się bić?” „Cholera — mówił — poszedłbym na robsiczkę (!) do jego boru, a gdyby mi podeszedł, kropnąłbym w łeb jak zająca. A my szlagonom budujemy nową Polskę — snuje dalej — jak oni się nawzajem popychają, aby ogarnąć władzę”. Takiego rekruta Banasiaka chciał

nam dać za dowódcę. Opowiedziałem im, jak w Emilianowie Antek B. biegł obok mnie, gdyśmy biegli polem, aby szwabom odciąć drogę powrotną i pytał mnie, jak się karabin odbezpiecza! No, taki burżuj umiał się od frontu dekować, ma 20 lat i frontu nie widział, a twój brat Franek ma 17 lat i już inwalida. „Jak to się stało?” — mówi do mnie Julek. Ja na to: „Kto smaruje, ten jedzie; mój brat nie miał czym smarować”. — „Człowieku — mówił Franek Sz. — jak księdzu zapłacisz, to cię św. Piotr na leżance umieści. Antek Banasiak nie został wysłany do Szczypiorna, bo starzy frontowcy lepiej go wyćwiczyli na dobrego żołnierza”.

Po tych zakazach nastąpił istny pogrom zwierzyny polnej, jak leśnej. „Dość mieli tych przywilejów parchy dotąd” — mówił Julek — wybić kurczybkom wszystko do reszty.” Nawet bażanty, które całymi stadami chodziły, wybito kulami przy jasnym świetle księżyca prawie do reszty.

Kilkanaście dni po batalii pod Torzeńcem (w połowie lutego) wyszło trzech robsików [!] na pola pomiędzy wioskami Teklinowym, a Jutrkowym na zające. Byli to bracia Julek i Otton Blewaska i Szczepaniak Franek (przezwany Świński Samiec). Było to przed południem około godz. 10. W pewnej chwili zauważyli, jak z ostatnich zabudowań od strony północnej wsi Teklinowa wychyliło się siedmiu jeźdźców. Spostreżli w polu robsików i klusem jechali w ich kierunku. Chłopaki przypuścili szwabów na odległość 400 m. Po pierwszej salwie spadł z konia ranny dowódca tego patrolu, porucznik. Gdy rannego przywieziono do kwatery w Torzeńcu, ochotnicy zerwali się jak szaleni. Nie czekali na żaden rozkaz, cap za broń i biegli w kierunku wsi Teklinowa. Sekcyjni w biegu formowali szyki. W kierunku Jutrkowa na lewe skrzydło wysłano patrol trzech ludzi. Dowództwo mojej sekcji przejął w mej nieobecności Banasiak Antoni. Skierowano tę sekcję w kierunku folwarku Nawrotów. Gros kompanii szło w tyralierce na wieś Teklinów. Kompania liczyła już wówczas przeszło 60 ochotników.

Tego dnia rano wysłał mnie sierż. Węzyk z listem do komendy w Ostrzeszowie. Wróciłem do Torzeńca po dziesiątej. W kwaterze natknąłem się na sierż. kwatermistrza (przezwanego Kropidłem), który mi mówi, co zaszło:

„Wziółem [!] karabin i biegłem w kierunku Teklinowa. W drodze dobiegłem dowódcę kompanii sierż. Węzyka, który się też spóźnił. Dobiegł nas również plutonowy Wąsala. Zdyszani dobiegliśmy tyralierkę [!] w chwili rozpoczęcia ataku. Cała nasza trójka włączyła się w środek tyraliery. Sekcyjni rozporządzili się prawidłowo: stare wygi frontowe prowadzili w przodzie. Niemcy sypali z kulomiotów już na odległość 600 m. Nie strzelaliśmy. Atak był tak ostry, że nikt nie był w stanie skutecznie strzelać. Ogień zionął z płuc. Otworzono ogień dopiero na odległość około 400 m. Kompania posiadała wówczas już jeden lekki karabin maszynowy i jeden wyrzutnik granatów, który zresztą nie zdążył z kompanią, a nosił tylko na odległość 300 m. Był czynny w ostatniej fazie ataku. Niemcy ukryci za budynkami i płotami wściekle siekli, lecz za wysoko, jak pod Torzeńcem. Lewe skrzydło naszego ataku zagrażało odcięciem Szwabów od Podzamcza. Po prawej mej stronie, w odstępnie kilku metrów biegł 19-letni Banasiak Jan. Biegliśmy przez pole obsiane jesienią łubinem. Banasiak natknął się na Niemca leżącego w brudzie twarzą na ziemi. Coś go tknęło [!], chwycił szwaba za hełm stalowy, podniósł głowę do góry, by się

przekonać czy istotnie zabity. Szwab wybałuszył na niego przerażone oczy. B. łupnął karabinem w łeb, przy czym złamał kolbę; łupnął z martwych rąk Niemca jego karabin i biegł dalej. Jeszcze dwa skoki i jeszcze jeden. Niemcy uciekają jak dzikie króliki. Popłoch wśród nich wzmogli ich ranni, uciekający w kierunku Podzamcza. Do walki wręcz nie doszło. Folwark Nawrotów obsadzili Niemcy jednym plutonem z czterema kulomiotami — o czym dowiedzieliśmy się parę dni później. Chłopcy atakujący ten folwark mieli trochę wzruszający moment, z kierunku wsi Olszowa biegła grupa ludzi jak w tyraljerce w kierunku Nawrotowa. Chłopcy wzięwszy ich za Niemców atakujących z flanki, skierowali na nich ogień. Dopiero na ich krzyki, że to swoi, przestali strzelać. Okazało się, że to chłopci ze Świiby samorzutnie biegli powstańcom na pomoc uzbrojeni w widły i kije. Artyleria niemiecka, choć stała niedaleko obok cegielni w Podzamczu, nie brała udziału w tej walce zapewne w obawie, by nie razić swoich. Atak był tak szybki, że nie zdążyli się zorientować w sytuacji. Mścili się na zabudowaniach Mirkowa, gdy po tej walce zajęty został przez powstańców.

Straty niemieckie w tym spotkaniu były: czterech zabitych i około 15 rannych. Z naszej 2 kompanii poległ Wawrzyniak z Doruchowa, którego komendant Thiel pochował w swym grobowcu w Doruchowie. W ten sposób uczcił jednego z najlepszych frontowców poległych za wolność.

Prócz Mirkowa zajęliśmy wsie Kierzno, Ostrówiec i majątek Myjomice (własność ciotki naszego dowódcy sierż. Wężyka). Mnie przeznaczono do zajęcia młyna parowego położonego między wioskami Teklinowem a Mirkowem. Właściciel młyna, Niemiec Tiec, zbiegł do *Reichu*, a artyleria niemiecka biła w jego zabudowania oraz szkołę w Mirkowie, gdzie kwatrowała 3 kompania. Po tygodniu ściągnięto moją sekcję do Nawrotowa.

Po zachodniej stronie linii kolejowej Kępno—Ostrzeszów operowała 1. kompania 12 pułku pod dowództwem sierż. Jerchela. W ciągłych uderzeniach zajmowała wioski Kochłowy, Rzetnię i Turze aż pod leśniczówkę Myjomice, będąc w stałym kontakcie z naszą 2. kompanią.

W tym czasie Liga Narodów zakazała wszelkich zacepek, akcji frontowych, czego *Grenzschutz* z reguły nie dotrzymywał. Dowództwa otrzymały nakaz wzajemnego porozumienia się odnośnie ustanowienia linii demarkacyjnej. Konferencja miała się odbyć w zamku folwarku Nawrotów. Sierż. Wężyk wezwał mnie do siebie, dając następujące polecenie: „Wybierzcie sobie dwu żołnierzy i zajmijcie stanowisko około 100 m. od zamku w kierunku Podzamcza. Przyjedzie delegacja niemiecka, którą skierujecie do zamku na konferencję”. Około godz. 10 pojawiło się trzech jeźdźców. Wystąpiłem na środek drogi. Zatrzymali konie, a por. Tobiasz zapytał mnie, czy mogą jechać. Powiedziałem tak, ale proszę oddać broń palną. „*Gestatten Sie* — mówi — my jedziemy na rozmowę z waszym dowódcą”. — „Wiem o tym” — mówiłem i odbezpieczając karabin powtórzyłem: „Broń oddać!” Odpinali kabury i oddawali pistolety. Po kilku minutach przybiegł starszy żołnierz z rozkazem stawienia się do kom. Thiela. Gdy wszedłem do pierwszego pustego pokoju, widziałem przez otwarte na oścież drzwi siedzących za stołem w drugim pokoju Niemców. Po drugiej stronie stołu stał gospodarz tego folwarku, Krauze (niedawno zdemobilizowany kapitan). Kłócąc się zażarcie z por. Tobiaszem, mówił prawie krzycząc:

„Das ist nicht wahr. Ich habe durchs Fenster vom ersten Stock zugeschaut. Die Polen haben hier keine Artillerie gehabt. Mir aber als altem Soldaten hat das Herze gelacht wie die neun Menekens gegen den Hügel gestürmt haben. Ihr dagegen habt hier in der Checke vier Maschinengewehre stehen gehabt und seit dennoch feige faufen gegangen. Ich musste mich für Euch schämen“.

Z tej wypowiedzi Niemca dowiedzieliśmy się dopiero, jak *Grenzschutz* był uzbrojony. Za artylerię uważał Tobiasz zapewne nasz granatnik, który nie bardzo się zresztą nadawał do akcji zaczepnych. Komendant Thiel wstał od stołu, wyszedł do mnie do pierwszego pokoju i mówi: „No, coście tam znowu narobili?” — „Nic panie komendancie — mówilem — chciałem tylko szwaba upokorzyć”. Uśmiechając się, kom. Thiel pogroził mi palcem mówiąc: „Oddać im broń, gdy będą wracać”. — „Tak jest panie komendancie” Miał wówczas już stopień majora. Poznał mnie tymczasem bliżej. Miałem z nim kilka dni przedtem mały spór o konie. Uciekły Niemcom dwa pewnej nocy. Złapaliśmy je, jeden z nich był wierzchowcem por. Tobiasza. Kazał go odstawić do Ostrzeszowa. „Nie, panie komendancie, konia mamy za darmo, o jakiś wóz się postaramy, nie będziemy nosić kuchni i sprzętu na plecach; może być inny za niego”. Nie rzekł nic. Graliśmy przy stole skata. Gdy wracał z kancelarii powiedział: „Gdzie to jest ten z tym wielkim pyskiem?” Wstałem od stołu. Położył przede mną na stole 200 szt. papierosów *Eckstein* i mówi: „Tu macie, zostawcie sobie waszego konia”. — „Dziękujemy komendancie” — bąknąłem. Prawdę mówiąc, mój sprzeciw zawierał pewną dozę niesubordynacji, ale na froncie takie rzeczy uchodziły. A może komendant uznał, że mam trochę racji? (...)

Po ustaleniu linii demarkacyjnej moja drużyna wyznaczona została wyłącznie do patroli wzdłuż tej linii od Mirkowa przez Kierzno, Ostrówiec, Myjemice aż do leśniczówki Myjomskiej w kierunku Turza. Do leśniczówki dochodziły również patrole kompanii, przy czym wymieniano karteczki docelowe. Podczas tych patroli zauważyliśmy, że Niemcy przekraczają tę linię i kupują od gospodarzy jajka i masło. Na południe od wsi Pusty Klin, tuż przy Lesie Myjomskim, stały bowiem cztery gospodarstwa w linii demarkacyjnej. Postanowiliśmy szwabów przepłoszyć. Zaczailiśmy się w młodym zagajniku sosnowym tuż obok ostatniej zagrody stojącej przy samym lesie. Na południe od tego punktu po stronie zachodniej od majątku Hanulin stała stodoła, w której Niemcy urządzili posterunek w sile jednego plutonu z ciężkim kulomiotem. Około godz. 10 wyszło z tego posterunku trzech Niemców, którzy kierowali się przez pola ku tym zagrodom. Gdy opuścili ostatnią, wyskoczyliśmy z zagajnika z gotową bronią. Stanęli jak na baczność; rozbroiliśmy ich. Julek Blewaska zakomenderował: „Ściągać buty!” Następnie: „Rozbierać się!” Patrzeni zdziwieni po sobie nie dowierzając, czy istotnie mają to robić. Julek przypomniał najbliższemu karabinem, że to rozkaz. „Gacie także” — mówił. Wyklarowałem im, aby się tu więcej nie wazyli plądrować, bo mogą do matki nie wrócić. Julek zapytał ich, czy widzą tę stodołę obok majątku Hanulin i na komendę raz, dwa, trzy ruszą biegiem marsz, marsz i począł liczyć. Ruszyli żwawo, a ich koszule trzepotały przy podmuchu wiatru, jak gdyby słały nam pozdrowienia. Było chłodnawo, lecz śniegu już nie było. Odległość do tej stodoły wynosiła najwyżej kilometr. Gdy ubiegli około pół kilometra, zwolnili kroka. Julek oparł karabin na płocie i od-

dał strzał nad ich głowami. Zerwali się ponownie. Tymczasem ze stodoły wysunęła się kupka fryców jeden po drugim, gapiąc się na biegnących w kierunku prawie nago. Gdy dobiegli, a w końcu doszli, znikli w stodole. W tej chwili zaczął grać kulomiot w kierunku zagajnika.

Karabiny mieliśmy do rezerwy, mundury z gaciami i buty daliśmy w Myjomicach fernalom do pracy. Jajka, masło i 38 marek gotówki zużyliśmy sami. Fryce przestali się obżerać polskimi jajkami i masłem. Niemcy próbowali dwukrotnie zrewanżować się nam, lecz robili to niefachowo.

Pewien czas po zajęciu Mirkowa zanotować musiałem jedno przykre niepowodzenie. Otóż dow. kompanii sierż. Wężyk otrzymał wiadomość, że dow. oddziału niemieckiego por. Tobias tej nocy osobiście poprowadzi oddział w sile 20 ludzi z zamiarem zlikwidowania naszego oddziału zakwaterowanego w Mirkowie w szkole. Podchodzić mieli nad rzeczką Prosną, gdzie jest głębokie koryto w niektórych miejscach na wysokość człowieka. Od strony wschodniej miano okrążyć szkołę i oddział zlikwidować. W szkole znajdowała się prawie połowa kompanii. Wieczorem na odprawie sierż. Wężyk wystąpił z następującym planem, który został przyjęty: Jedna sekcja wysunięta zostanie o zmroku do zagrody najdalej wysuniętej w stronę Podzamcza (około 400 m). Gdy w Mirkowie padną pierwsze strzały, sekcja ta uderzy biegiem nad Prosnę i odetnie szwabom drogę. Dowództwo tej sekcji obejmie Mikołajczyk, a zwracając się do mnie mówi: „Dostaniecie inną grupę ludzi”. Na moje pytanie, dlaczego nie mogę prowadzić moich chłopaków — mówił: „Ja tu muszę mieć pewnych”. Wysunąłem prośby, aby mi pozwolili wybrać tych trzech spośród moich. To mi zupełnie wystarczy. Nie zgodził się. Dano mi ludzi nie znanych, młodych pochodzących z Grabowa. Zająłem ową zagrodę o zmroku. Nikogo z mieszkańców nie wypuściłem poza zagrodę. W czasie czekania badałem młodzików. Okazało się, że żaden nie miał szkolenia koszarowego. Zatem, upominałem, po strzale we wsi skoczmy biegiem do rzeki. Musimy biec bezszelestnie, bez słowa. Upominałem, aby uważali na mnie. Strzelać wolno tylko na mój rozkaz. Około w pół do pierwszej — pierwsze strzały. „Za mną!” — powiedziałem i biegiem do rzeki. Wpatrzony w teren dobiegłem do rzeczki. Wówczas spostrzegłem, że obok mnie nie ma nikogo. Za urwiskiem zająłem stanowisko, przygotowując granaty. Przywołać tych chłopaków do siebie nie mogłem, aby się nie zdradzić. Gdzieś z terenu za mną chłopaki otwarli ogień mimo mego zakazu. Całkiem bezskutecznie, gdyż w głębokim korycie rzeki nikogo widzieć nie mogli. W tej też chwili Niemcy sunęli korytem na mnie. Pierwszy granat po stromej skarpie wpadł do wody, drugi eksplodował na brzegu; nie mógł szwabom w korycie. Strzały niecelne na skutek mgły. W tym momencie słyszę rozkaz: „*Hier über Wasser*”. Wyskoczyłem z koryta, strasząc ich tylko strzałami, gdyż sylwetki trudno było rozpoznać. Dwukrotnie wołałem na całe gardło: „Sekcja Mikołajczyk do mnie biegiem marsz! marsz!” — ale żaden się nie poderwał. Niemcy, okrążając mnie półkołem na terenie wieruszkowskim, biegli w kierunku Podzamcza. Przystałem strzelać, ledwo sylwetki można było rozpoznać. Szkoda naboju. Wstałem, idąc w teren szukać chłopaków. Znalazłem ich w odległości około 250 m od rzeczki jeszcze strzelających. „Do czego strzelacie?” — pytam. Nic. „Kto zaczął strzelać mimo mego zakazu?” Też nic. Pierwszych dwóch rozbroiłem, kopniaką, a do reszty

mówiłem: „Wynoście mi się z ócz, bo was wszystkich postrzelam, wy tchórze!” Zostawiłem ich w polu, kierując się do kwatery. Ledwo mnie sierż. Węzyk zobaczył, buchnął na mnie: „Mikołajczyk, co tak krzyczycie w tym polu, co się tak drzecie, gdzie macie ludzi?” Wówczas w najwyższym oburzeniu położyłem karabin mówiąc: „Rozbroiłem ich i posłałem do matki gęsi paść. Pytam, jakich ludzi mi pan przydzielili? Tutaj mogła jedna baba strzałem szwabów wystraszyć. Pan nie ma żadnego pojęcia o taktyce bojowej. Cholera jasna, szwabysie same cisną w łapy, zrobić nic nie idzie, pod sąd polowy tych tchórzy!” Nie zareagował na moje obraźliwe docinki. No — mówił — uspokójcie się już trudno nie udało się”. On mnie słyszał w Mirkowie, chłopcy na 200 m nie.

Nadszedł kwiecień. Na rozkaz odgórny wycofano starsze roczniki z frontu do Jarocina, gdzie formowano pierwszy baon zapasowy 12. pułku. Po krótkim czasie — jako byłego pracownika kolejowego — wysłano mnie do Poznania. Na Wildzie formowano pierwszy baon kolejowy. W krótkim czasie otrzymałem stopień kaprala i zostałem wysłany do Kąkolewa pod Lesznem, gdzie ppor. Szukałowicz ze Lwowa organizował Komendę Bazy. Odbywała się tam rejestracja materiałów wojskowych armii gen. Hallera wracającej z Francji do wolnej Polski.

Ponieważ w listopadzie 1919 r. zawarłem związek małżeński, czas było pomyśleć o przyszłości. Osiem i pół najlepszych lat straciłem na żołnierce. Całe moje oszczędności w kwocie 2 000 marek oddałem na pożyczkę państwową. Tymczasem Śląsk również krwawił dalej o swoją wolność. Narzucone młodej Polsce plebiscyty były dla nas niekorzystne. Mimo przegranej wojny silne jeszcze Niemcy, przy cichej, życzliwej pomocy Anglii, wykorzystywały handelek o polskie ziemie.

Po wycofaniu mnie z frontu kępińskiego miały miejsce dalsze ostre utarczki, mimo zakazów. Zmian nie przyniosły. Były straty.

Z końcem 1920 r. zostałem zwolniony z wojska. Od tej daty podjąłem pracę w administracji cel, dyrekcja Poznań. Rozpocząłem nowy rozdział życia. Z braci moich udział w Powstaniu Wielkopolskim brał także Jan.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość, że w bitwie zapisanej w historii pod tytułem „Cud nad Wisłą” oddał swe życie za Wolność Ojczyzny mój były dowódca drugiej kompanii 12 Pułku Strzelców Wielkopolskich Węzyk Marian jako dowódca kompanii w stopniu podporucznika. Cześć pamięci

JÓZEF MIKOŁAJCZYK

STARCIE W. LUTOSŁAWSKIEGO ZE STUDENCKĄ HAKATĄ W LIPSKU

Dnia 6 września 1894 r. cesarz Wilhelm II wygłosił w Królewcu mowę, której zasadniczy tenor sprowadzał się do karcenia konserwatystów z parlamentarnej opozycji i wezwania do walki ze społeczno-politycznym radykalizmem. Niebawem, bo już 22 września znów wystąpił publicznie, tym razem z otwartym antypolskim atakiem. Z przemówieniami tymi korespondowały deklaracje odsuniętego w 1890 r. od rządów Ottona von Bismarcka. Podejmowane przez nacjonalistów pielgrzymki do jego rezydencji w Warcinie dały mu sposobność do wyrażenia swego aktualnego politycznego *credo*. Perorował zatem o konieczności walki o całość Prus

i Rzeszy, zagrożonych pomysłami odbudowy polskiej państwowości. W razie powstania niepodległej Polski upomni się ona natychmiast o Gdańsk i Toruń. Celem niemieckiej polityki jest niedopuszczenie do takiej sytuacji. Stąd konieczność walki z polskim ziemiaństwem oraz duchowieństwem, bo te dwie grupy społeczne stanowią ostoję „narodowych mrzonek”. Dnia 23 września zjawili się u Bismarcka delegaci z Gdańskiego Pomorza (Prus Zachodnich), którym powtórzył swe stare, wobec Polaków żywione animozje.

Wszystkie tego rodzaju wystąpienia sprzyjały polaryzacji stuletnich, antypolskich dążeń, przybierających formy zorganizowanej walki już nie z określonymi grupami społecznymi, ale z całą polską populacją¹. W tym celu 28 września 1894 r. ukonstytuowała się komisja założycielska Związku Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich (*Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken*) nazywanego od inicjatorów: Ferdinanda Hausemanna, Hermanna Kennemanna i Heinricha Tiedemanna — Hakatą. Uchwalony 3 listopada statut zakładał, że stowarzyszenie będzie obserwować wypowiedzi prasy polskiej, osiedlać Niemców we wschodnich prowincjach, wzmacniać ekonomicznie na tych terenach niemiecki żywioł, urządzać publiczne, propagandowe zebrania, popierać niemieckie szkolnictwo. W 1899 r. organizacja zmieniła nazwę na: Niemiecki Związek Kresów Wschodnich (*Deutscher Ostmarkenverein*)². W myśl jego twórców posiadał on charakter ogólnoniemiecki i jego terenowe grupy (*Ortsgruppe*) oraz punkty zbiorcze (*Sammelstelle*) były zakładane w całej Rzeszy. Jednak organizacyjne wyniki tych zabiegów w poszczególnych „krajach” okazały się niejednolite. Poza Wielkopolską i Pomorzem najsilniejsze poparcie Hakata zyskała jedynie w Saksonii. Nie bez znaczenia dla sukcesów w tym landzie stały się nacjonalistyczne tradycje, żywe tam od 1848 r. oraz w miarę rozwoju przemysłu — wzrastające klasowe napięcia, tarcia między liberałami burżuazyjnych i drobniomieszczańskich ugrupowań, a socjalistami oraz działalność profesora Lipskiego Uniwersytetu Ernsta Hassego.

Ten czołowy przywódca Wszechniemieckiego Związku (*Allgemeiner Deutscher Verein*), jak donosił „Dziennik Poznański” potrafił swym słuchaczom rozdawać napisaną przez siebie i wydaną przez *Alldeutscher Verband* w 1894 r. broszurę pt. *Die Polenfrage*. Zawierała ona antypolskie cytaty z przemówień Bismarcka i zawierała „dzikie i bezrozumne napaści na Polaków”³. W tymże czasie Hasse przygotowywał obszerniejszą publikację *Deutsche Politik* (wydaną w 1907 r.), w której dowodził, że okres zbrojnego pokoju należy wykorzystać na całkowite zgermanizowanie wschodnich prowincji Rzeszy. W przeciwnym wypadku — dowodził — w momencie starcia Niemiec ze światem słowiańskim polski element na tych ziemiach może stanowić poważne zagrożenie. Niezależnie od tych wystąpień prof. Hasse wraz z kilku wykładowcami *Alma Mater Lipsiensis* (m. in. historyk Karl Lamprecht, profesor ekonomii Johannes Wislicenus

¹ A. Galos, *Hakata w pierwszych latach istnienia (1894-1900)*. [W:] *Dzieje Hakaty*. Poznań 1966, ss. 39-47.

² Z. Wojciechowski, *Polska-Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*. Poznań 1945, s. 227; J. Krasuski, *Historia Rzeszy Niemieckiej 1871-1945*. Poznań 1969, s. 171.

³ Z *Lipska*. „Dziennik Poznański” 1897, nr 262.

oraz znawca dziejów starożytnych Erich Marcks) podjął w 1895 r. próbę założenia w Uniwersytecie Lipskim studenckiej grupy Hakaty. Jak informował „Leipziger Tageblatt” z 13 czerwca, prof. Lamprecht na zebraniu inauguracyjnym wygłosił wykład, który sprowadzał się do następujących kwestii: kiedy spojrzemy na dzieje Polski, widzimy w nich ciągły zamęt. Dopiero w XIV stuleciu pod rządami Kazimierza Wielkiego nastąpiła w tym kraju pewna stabilizacja. Stało się to dzięki spontanicznemu napływowi niemieckich kolonistów, którzy zakładali w jego królestwie miasta, podnosili ich ekonomiczny i kulturalny poziom. Wojna trzydziestoletnia dała impuls nowej kolonizacyjnej fali, nowemu rozwojowi gospodarczemu Polski, dalszemu powstawaniu miast, które stawały się miejscem schronienia dla uciemżonych przez szlachtę i kler chłopów. Sama szlachta w znacznej części przechodziła na protestantyzm, ale pod naciskiem kleru i królewskiego dworu tendencje te zostały zahamowane. Jednocześnie począł się kształtować pogląd, że Polak to katolik. Kiedy część Polski przyłączono do Prus, Fryderyk II rozpoczął systematyczną kolonizację na tych terenach. Polityka ta była realizowana do 1840 r. Dziś — kontynuował Lamprecht — znów stała się ona aktualną. W ciągu XIX wieku poczęła tam powstawać i rosnąć w siłę nowa grupa społeczna, polskie mieszczaństwo. Istotna rola w tym procesie przypadła założonemu w 1841 r. przez Karola Marcinkowskiego „Towarzystwu Pomocy Naukowej”. Udzielając stypendia potrafiło wykształcić liczny zastęp nauczycieli, lekarzy, prawników i duchownych. To właśnie oni przewodzą „polskiej agitacji”. Wprawdzie *Kulturkampf* przyhamował ów trend, ale dojście do głosu w Rzeszy katolickiego Centrum dodało nowych sił Polakom. W tej sytuacji obronę kresów wschodnich podjęło *Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken*. Jego hasłem jest przeciwstawienie się rozszerzaniu Polactwa na niemieckich obszarach; obowiązkiem każdego Niemca jest dopomóc w tym dziele.

Po prelekcji prof. Lamprechta na wniosek studenta teologii Mauernbrechera powołano do życia uniwersytecką grupę terenową Hakaty i wybrano jej pierwszy zarząd⁴.

Na wieść o tym katolicka „Germania” ironizowała:

„Na czym ma polegać jej rola? Czy może panowie studenci w Lipsku pragną finansować wschodnią politykę lub może nie zechcą od Polaków, względnie przyjaciół Polaków, zaciągnąć pożyczek (*kein Pumpenverhältniss mehr eingehen*), a może pragną z książki komersowej wykreślić polskie pieśni, jak np. *Jeszcze Polska nie zginęła*?”⁵.

Zgodnie z obowiązującymi w Saksonii przepisami wiadomość o założeniu studenckiej *Ortsgruppe* wraz z podaniem o jej legalizację przedstawił dnia 17 czerwca 1895 r. senatowi uniwersyteckiemu student Hermann Hesse. Do tych dokumentów dołączył: statut, listę członków (63 osoby, przeważnie słuchacze prawa i teologii), skład zarządu, który two-

⁴ *Allgemeine Studentenversammlung*. „Leipziger Tageblatt und Anzeiger” (Erste Beilage) 1895, nr 288; H.T.K. w Lipsku. „Dziennik Poznański” 1895, nr 137. O powstaniu podobnych grup w Berlinie i Wrocławiu, tamże 1895, nry 141 i 145.

⁵ *Leipzig, 14 Juni*. „Germania” 1895, nr 136.

rzyli: prezes Kurt Georgi i jego zastępca Bruno Marx⁶. Wniosek ten podobno natrafił na niespodziewany dla jego inicjatorów opór senatu i ówczesnego rektora, profesora medycyny Paula Flechsig. Mimo, że podobne grupy powstały w uczelniach Berlina i Wrocławia, zarówno senat, jak i on odmówili aprobaty studenckiej filii Hakaty. Jak donosiła prasa polska, w Uniwersytecie Lipskim zakazano działalności tej organizacji⁷, ale w uniwersyteckich dokumentach brak jest potwierdzenia tego faktu. Natomiast jest wśród nich pismo z listopada 1897 r., sygnowane przez sekretarza *Ortsgruppe*, słuchacza teologii Waldemara Seidela, które świadczy iż uniwersytecka filia Hakaty w Lipsku istniała, ale działała tak anemicznie, że zgłoszono jej rozwiązanie, motywując ten krok brakiem członków⁸. W świetle prasowych wypowiedzi i wspomnianego dokumentu można przyjąć, że w senacie uczelni istniała opozycja przeciw legalizacji Hakaty jako organizacji politycznej, stanowiącej filię stowarzyszenia niezależnego od uniwersytetu. Opór ten widocznie jednak złamano i ostatecznie zgłoszony oddział Hakaty zatwierdzono. Po chwilowej, założycielskiej euforii wiódł on żywot anemiczny i ostatecznie stał się zupełną fikcją. Nie było to zresztą w dziejach Hakaty wydarzeniem odosobnionym; zamieranie terenowych organizacji zdarzało się szczególnie w zachodnich Niemczech. Właśnie w 1896 r. wyraźnie zaznaczył się wśród nich kryzys, który objął również grupę uniwersytecką w Lipsku.

W 1898 r. podjęto kolejną próbę utworzenia studenckiej filii Związku Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich. Sprawą tą zajął się energicznie nauczyciel z Międzyborza dr Keller. Należał on do grona założycieli Hakaty, działał w wydziale głównym i jako niezmordowany aktywista został wydelegowany w 1898 r. w agitacyjną podróż po Saksonii. Założył wtedy terenowe oddziały w Dreźnie, Plauen, Chemnitz i Zwickau⁹. W tym też celu zwołał na dzień 2 grudnia 1898 r. w Lipsku wiec niemieckiej młodzieży z udziałem uniwersyteckich profesorów, zapowiadany już w październiku przez organ Hakaty „Die Ostmark Monatsblatt des Vereins zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken”. Podobnie „Leipziger Neueste Nachrichten” oraz „Leipziger Tageblatt” nawoływały słuchaczy lipskiej wszechnicy o jak najliczniejsze przybycie na zgromadzenie. Dla jego rozpropagowania ukazały się informacyjne notatki w „Verein deutscher Studenten”, a nawet ulotny druk, zachęcający komilitonów do gremialnego stawienia się w sali *Tivoli*, gdzie miał się odbyć zapowiadany wiec. Ulotkę tę przesłał przebywający właśnie w Lipsku

⁶ Universitätsarchiv Leipzig, Rep. II, Kap. XVI, Litt.-, Sect. II, Nr. 5, Bd. 1 oraz Rep. II, Kap. XVI, Litt. D., Sect. III, Nr. 8: Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken.

⁷ H.T.K. w Berlinie. „Dziennik Poznański” 1895, nr 141. Podobny wypadek miał miejsce również we Wrocławiu; por. „Dziennik Poznański” 1895, nr 167.

⁸ Universitätsarchiv Leipzig, *op. cit.*

⁹ Doniesienia o tym podaje „Ostmark. Monatsblatt des Deutschen Ostmarken-Vereins” 1898, nry 5, 6, 7, 9; *Filia hakatystyczna...*, „Dziennik Poznański” 1898, nr 217.

Wincenty Lutosławski do redakcji „Kraju”, która zamieściła ją *in extenso* w przekładzie polskim¹⁰.

Na wiec przybyło ponad 600 studentów. W prezydium zasiedli notable Lipska: profesorzy z tytułami tajnych radców — Degenkolbe i Frick, wydawca Grunnow, wyżsi urzędnicy, a pośród nich nadburmistrz dr Georgi¹¹. W charakterze przedstawiciela zarządu głównego Hakaty przybył jej przewodniczący mjr H. von Tiedemann-Seeheim oraz redaktor „Die Ostmark” prof. dr Liesegang. Zebraniu przewodniczył profesor chemii J. Wislicenus, który przywitawszy zebranych udzielił głosu prof. E. Marcksowi. Ten wygłosił obszerny referat o niemiecko-polskich stosunkach w ostatnim stuleciu. Dłużej zatrzymał się przy dwóch postaciach, toczących nieprzejednaną walkę z polskością: Fryderyku II (Wielkim) oraz Ottonie von Bismarcku. Uraścili oni w jego interpretacji do symboli zmagania ze słowiańskim Wschodem. Jeżeli chodzi o Polskę — mówił prof. Marcks — to od połowy XVII wieku drażyła ją anarchia, niszczyła społeczna i polityczna supremacja szlachty i kleru. Przez egoizm tych stanów doszło do gospodarczego i politycznego upadku kraju. Tylko przez zapobiegliwość Prus i Austrii nie stała się Polska w całości łupem Rosji. Dzielnice, które przypadły Prusom, dzięki wysiłkom rządu podniosły się ekonomicznie, podźwignęły z upadku i zacofania. W ciągu XIX stulecia stosunki niemiecko-polskie przechodziły różne koleje, bowiem polityka wschodnia Prus, niestety, nie była konsekwentna. Można w niej wyodrębnić fazy liberalizmu i germanizacyjnego nacisku. Dopiero gabinet Bismarcka przywrócił jej właściwy bieg. Potwierdzeniem tego jest utworzony w 1886 r. fundusz dla popierania niemieczyny we wschodnich prowincjach Rzeszy. Jednak walka z polskim żywiołem stała się trudniejsza, ponieważ na ziemiach tych wzmocnił się stan chłopski, powstało polskie drobnomieszczactwo, wzrosła narodowa świadomość. W tej sytuacji należy podjąć bezwzględną walkę z tym obcym i niespokojnym elementem. Innej alternatywy nie ma. W zmaganiach tych, niestety, nie można liczyć na pomoc wielonarodowej Austrii. Pozostaje tylko Rosja jako realna, antypolska siła. Wspólnie z nią uda się zniszczyć polskość i doprowadzić do całkowitego zgermanizowania wschodnich prowincji Rzeszy¹².

Referatu tego wysłuchała wraz z niemieckimi studentami grupa polskich akademików, głównie członków stowarzyszenia *Unitas*¹³, a wraz z nimi zjawił się w sali *Tivoli* Wincenty Lutosławski, który po ukończeniu niemieckiego gimnazjum w Mitawie (1877 - 1881) studiował na politechnice w Rydze (1881 - 1882), a następnie przeniósł się na uniwersytet w Dorpacie (1883 - 1888), gdzie uzyskał stopień magistra oraz kandydata z chemii i filozofii. Ze swymi niemieckimi nauczycielami pozostawał zawsze

¹⁰ W. Lutosławski, *Wolność słowa u Hakatystów*. „Kraj” 1898, nr 49; *Odezza hakatystów*. „Kurier Poznański” 1898, nr 277.

¹¹ Dr Georgi zabiegał w 1886 r. o renowację pomnika ks. J. Poniatowskiego stojącego w Lipsku przy ul. Lessinga.

¹² T. D., *Lipsk, 2 grudnia*. „Dziennik Poznański” 1898, nr 276; *Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken*. „Leipziger Neueste Nachrichten” 1898, nr 332.

¹³ Por., R. Ergetowski, *Studenckie organizacje Polaków w Uniwersytecie Lipskim w latach 1872 - 1919*. Wrocław 1982, ss. 40, 82 - 128.

w jak najlepszych stosunkach, zdobywając pośród nich szczerych przyjaciół¹⁴. Lutosławski odbywał liczne podróże; zwiedził Szwajcarię, Austrię, Włochy, Niemcy, Anglię, Stany Zjednoczone, Portugalię i Hiszpanię. W latach 1890 - 1893 był docentem i zastępcą profesora filozofii na Uniwersytecie Kazańskim; po otrzymaniu w Helsinkach doktoratu dotarł przez Finlandię, Szwecję, Danię i Niemcy do Lipska, gdzie zatrzymał się w związku z opublikowaniem rozprawy pt. *Seelenmacht. Abriss einer zeitgemäßen Weltanschauung*¹⁵.

Po referacie prof. Marcksa podszedł Lutosławski — jako uczestnik wiecu — do przewodniczącego zebrania i poprosił go o głos. Podał przy tym swój wizytowy bilet z dopiskiem: *Ein deutsch-freundlicher Pole*. Wislicenus robił początkowo trudności, ponieważ kolejnym mówcą miał być mjr Tiedemann. Ale skoro Lutosławski oświadczył, że niebawem musi opuścić zebranie i nie będzie później mógł dorzucić swych uwag do prelekcji prof. Marcksa, Tiedemann odstąpił mu swój głos.

Lutosławski przede wszystkim wyraził wdzięczność za bezstronność, za dopuszczenie go — choć jest Polakiem — na mównicę. Zastrzegł się, iż będzie mówił nie tyle jako Polak, ale raczej jako wielbiciel swych niemieckich wychowawców, a także autor niemieckich książek. Słowa te uspokoiły zebranych, którzy początkowo bardzo źle przyjęli fakt udzielenia Lutosławskiemu głosu¹⁶. Kiedy jednak przeszedł do omawiania sprawy prześladowania Polaków w Prusach, co uważał za rzecz niegodną narodu, który wydał tylu wybitnych filozofów, naukowców i literatów, znów zaczął narastać wrogi nastrój słuchaczy. Po słowach: „Nie czułbym do Hakaty nienawiści, ani nawet pogardy, tylko litość, że własnym narodowym interesom szkodzi przez śródki, które i tak do celu doprowadzić nie mogą. Zatem jako przyjaciel Niemców, jako ich uczeń, muszę ostrzec, że jest rzeczą niegodną niemieckiego narodu... (*es ist unwürdig der deutschen Nation...*)”. W tym miejscu przerwano Lutosławskiemu. Powstał tumult, rozległy się okrzyki *Hinaus, Wir wollen keinen Polen hören*, a przewodniczący zebrania oświadczył, iż odbiera mówcy głos. Lutosławski, nim zszedł z mównicy, wykrzyknął na całą salę: *Wer die Redefreiheit schätzt wird mit mir dies Lokal verlassen!* Po czym na znak protestu opuścił wraz z towarzyszącymi mu osobami zebranie¹⁷.

¹⁴ Pośród nauczycieli-przyjaciół W. Lutosławskiego należy wymienić przede wszystkim jego prywatnego wychowawcę Oskara Rumpego; w gimnazjum w Mitawie germanistę Johanna Ripkego, któremu ofiarował swój przekład na język niemiecki utworów Z. Krasieńskiego, za co z innej szkoły, rosyjskiej, byłby wydalony. W Rydze zbliżył się do prof. W. Osterwalda; utrzymywał z nim kontakty również w Lipsku. Natomiast w Dorpacie zaprzyjaźnił się z prof. Teichmüllerem.

¹⁵ W. Lutosławski, *Jeden latwy żywot*. Warszawa 1933; T. Czeżowski, *Lutosławski W.*, [W:] PSB, 1973 t. XVIII, ss. 153 - 156.

¹⁶ W. Lutosławski, jw., ss. 153 - 156.

¹⁷ *Der Ostmarken-Verein*. „Leipziger Volkszeitung” 1898, nr 280; *Lipsk*, 7 grudnia. „Dziennik Poznański” 1898, nr 281; przedruk w „Gazecie Warszawskiej” 1898, nr 325; W. Lutosławski, *Wolność słowa u Hakatystów*. „Kraj” 1898, nr 49, s. 19; *Zebranie Hakatystów*. „Gazeta Warszawska” 1898, nr 328. Podobny wypadek zdarzył się w 1895 r. we Wrocławiu, gdzie na założycielskim zebraniu studenc-

Po tym incydencie z obszerną perorą wystąpił mjr Heinrich von Tiedemann-Seeheim. Zaczął od potępienia niesłychanej prowokacji, której wszyscy obecni na sali byli świadkami, Jedyńą na nią odpowiedzią może być spontaniczny akces zebranych do Hakaty, aby podjąć pod jej przewodnictwem bezwzględna walkę z Polactwem. Dzięki Bismarckowi nadchodzi nowa era we wschodniej polityce Rzeszy. Energiczne wystąpienia Wilhelma II w tej sprawie w Malborku i Toruniu dodało siłę niemieckim patriotom. Dotychczasowy program obrony kresów wschodnich — wywodził mówca — realizuje 20 tys. Niemców skupionych w *Ostmarkenverein*. Ale ich dążenia musi poprzeć cały naród, bowiem kwestia polska nie jest tylko sprawą Prus. W chwili obecnej — kontynuował Tiedemann — istnieje już 141 lokalnych grup oraz 54 punkty zbiorcze. Skupiają one wszystkich tych, którym droga jest niemieczyzna. Nie może być więcej mowy o jakimkolwiek paktowaniu z Polakami, do przeszłości należy era Capriwiego. Ostatnie wybory w prowincjach wschodnich wykazały siłę Niemców i należy z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski i z całą mocą wystąpić przeciw Polactwu.

Znajduje ono — przekonywał Tiedemann — oparcie w katolickim Kościele. Należący do niego fanatycy uważają, że modlitwa w niemieckim języku jest grzechem, że Matka Boska była Polką! Dlatego należy kierować na Wschód nie Niemców katolików, ale protestantów. Stanowisko to poparł z sali prof. D. Friede wykrzykując, iż jest to jak najbardziej słuszne. Rola germanizatorów — ciągnął dalej mówca — nie kończy się na zasiedleniu ziemi. Muszą oni opanować handel, rzemiosło, przemysł. Dużo wody upłynie w Warcie i Wiśle zanim ten program zostanie zrealizowany; tym bardziej, iż istnieją Niemcy, którym się on nie podoba. Przykładem negatywnym może być berliński profesor Hans Delbrück, który w „*Preussische Jahrbücher*” stale oponuje przeciw aktywnej, narodowej polityce wobec obcych narodów na terenie Rzeszy. Wystąpienia takie hamują postęp germanizacji, rozbijają wspólnotę działania. A jest ona nieodzowna dla osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa.

Wywody te uzupełnił prof. Lamprecht przykładami odwiecznej walki germańskiego żywiołu o uzyskanie życiowej przestrzeni między Morzem Bałtyckim a Alpami. Ekspansja ta — podkreślał — będąc historycznie i geograficznie umotywowana, jest wyrazem naturalnych dążeń Niemiec. Wystąpienie swe zakończył Lamprecht wnioskiem, aby wyłonić komisję, która zajmie się zorganizowaniem terenowego oddziału Hakaty w Lipsku¹⁸.

Tym razem rzecznikom germanizacji powiodło się lepiej. Nowy oddział Związku Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich został powołany na zasadach ogólnie obowiązujących w Rzeszy; nie był zatem organizacją studencką, choć właśnie słuchacze miejscowej uczelni stanowili największą liczbę członków. W ten sposób omijano potrzebę zarejestrowania go u władz akademickich, które znow mogłyby okazać swą niechęć. Wiec z 2 grudnia 1898 r. zakończył się ukonstytuowaniem lipskiego zarządu, do którego weszli: adwokat Schnauß, nadprokurator dr

kier Hakaty w imieniu 55 polskich komilitonów Karczewski odczytał protest przeciw tej organizacji, por. Wrocław, 30 czerwca. „*Dziennik Poznański*” 1895, nr 148.

¹⁸ T. D., Lipsk, 2 grudnia. „*Dziennik Poznański*” 1898, nr 276.

Hamm, prof. Lamprecht, prof. Marcks i student Dittrich. Działalność swą rozpoczęli 15 lutego 1899 r., lecz należy ona już do dalszych dziejów lipskiej Hakaty¹⁹. Dodajmy tylko, że na zebraniu inauguracyjnym wystąpił osławiony Franz Wagner, wiceprzewodniczący zarządu głównego, który oznajmił, iż zna polskie niebezpieczeństwo z autopsji, pochodzi bowiem z Kwidzyna. Polacy — tak wywodził — organizują się i wzmacniają nie tylko w Wielkopolsce, ale w całej Rzeszy. Za najgroźniejszą dla niemieckiej organizacji polską uznał „Towarzystwo Naukowej Pomocy im. K. Marcinkowskiego”. Przez lata całe — jakby dla ironii — zrzeszeniu temu przewodził człowiek „o prawdziwie polskim nazwisku: dr Koehler”. Niepokojącym jest także stały wzrost liczby sokolich kół. Osiągnęły one już 51 jednostek, ich członkowie noszą — podobne do tradycyjnych — polskie uniformy. Zdarzają się takie skandaliczne wypadki — zauważył Wagner — jak ten, który miał miejsce we Wrocławiu: sokoli z tego miasta poświęcili swój sztandar w Krakowie! Polska prasa bezkarnie piętnuje rodaków należących do niemieckich związków kombatanckich, nadto żąda nauczania w szkołach w języku polskim. Pomaga jej w tym katolicki kler, który podburza do tego rodzaju wystąpień, wyraźnie i świadomie szkodząc niemieczyźnie. Rośnie — przestrzegał Wagner — liczba polskiej inteligencji, wzrasta siła polskiego społeczeństwa. Najboleśniej jednak zjawiskiem jest fakt częstego polonizowania się Niemców. Wystarczy przejrzeć listę polskich patriotycznych działaczy, aby się o tym przekonać. Niedawno bawiła w Moskwie polska delegacja lekarzy, której przewodził dr Ludwik Rydygier. A przecież jego ojciec podpisywał się Rüdiger, a jego matka była z domu König. Również ojciec znanego „krzykacza” Wolszlegiera uważał się jeszcze za Wollschlägera.

Polacy — poddani pruscy — kontynuował mówca — często fraternizują się z Czechami i Słowianami z południa. Pozwalają sobie na to, bo wiele niemieckich partii im sprzyja, zamiast utrudniać tego rodzaju poczynania. Rząd Rzeszy sam nie zapobiegnie tym groźnym dla niemieckiej sprawy zjawiskom. Potrzebna mu jest pomoc całego narodu, której on nie może swej władzy odmówić²⁰.

Tym razem apel nie trafił w próżnię. Mimo początkowych trudności Hakata usadowiła się w Lipsku i rosła w siłę. Z coraz większym impetem narzucała tamtejszemu społeczeństwu swe antypolskie nastroje.

Nazajutrz po wiecu — jak wspomina Lutosławski — zjawił się u niego reporter socjalistycznego organu „Vorwärts”, aby opisać zaistniałe w czasie zebrania zajście. Do tej relacji gazeta dodała dokończenie przemówienia polskiego filozofa, przemówienia, które mu tak brutalnie przerwało²¹. Fakt ten podała do publicznej wiadomości większość polskich czasopism, czasem dodatkowo streszczając wystąpienie Lutosławskiego. Dosłowny przekład tekstu wydrukowanego przez „Vorwärts” opublikował „Tygodnik Ilustrowany”. Brzmiał on następująco:

„Niebezpieczeństwo polskie, jak je Hakatyści pojmują, jest zupełnie takie samo, jakim było niebezpieczeństwo germańskie dla Polaków wówczas, gdy Lipsk (Lipsk

¹⁹ T. D., *Lipsk, 16 lutego*. „Dziennik Poznański” 1898, nr 44; *Aus unsern Ortsgruppen*. „Ostmark. Monatsblatt des Deutschen Ostmarkenvereins” 1899, nr 3, s. 27.

²⁰ *Ibidem*.

²¹ W. Lutosławski, *Jeden łatwy...*, s. 233.

= Lindenau) był jeszcze polskim miastem. Siła Polaków w ciągu stu lat ich niesamodzielności tylko wzrosła. Jak Neron swym prześladowaniem przyczynił się głównie do rozszerzenia chrześcijaństwa, tak polskość żadnemu człowiekowi nie zawdzięcza tyle nowej siły, co Bismarckowi.

Według niemieckich źródeł statystycznych Polacy są najplodniejszym ludem Europy. Mnożą się tak szybko, że liczba ich sięga dzisiaj osiemnaście milionów, a więc zajmują szóste miejsce pośród narodowości europejskich. Usunięci od urzędów i działalności politycznej, zwrócili się ku rozwojowi swych potrzeb ekonomicznych i dzięki temu gubernie Królestwa Polskiego są najbogatszą prowincją państwa rosyjskiego. Wytworzył się bogaty stan średni, a i chłopci biorą coraz żywszy udział w sprawach społecznych. Przy tym dzięki sile uczuciowej posiadają Polacy nieporównywalną zdolność asymilowania pierwiastków obcych. I tak w Warszawie posiadają z pewnością sto razy więcej spolszczonych Niemców, niż Berlin zniemczonych Polaków.

Dalej: wszelkie dziedziny życia umysłowego wzrosły w Polsce bardzo znacznie. Poezja, sztuka i nauka doszły w ciągu wieku XIX do niebywałego przedtem rozwoju. Przy tym zaznaczyć należy, że życie narodu nigdy nie zależy od formy państwowej. Życie narodowe Polaków wciąż rośnie, chociaż nie posiadają samodzielności politycznej. Świadczy to najwymowniej, jak bezcelowym jest usiłowanie powstrzymania narodowości drogą stosowania sił politycznych. Istnieje walka między Polakami a Niemcami w prowincjach zamieszkałych przez obie narodowości, ale tej walki nie rozstrzygnie siła materialna. Gdyby nawet udało się skłonić 60 mil. Niemców do wzięcia w niej udziału, niewieleby to wpłynęło na jej wynik, jeżeli nie mianoby odważyć znieść wszelkich ustaw państwowych.

Pojmują to Polacy tak dobrze, że zarówno w Polsce Rosyjskiej, jak i w Galicji mało się troszczą o pomaganie Polakom w Poznańskim²². Walka materialna nie podniesie szacunku dla narodowości niemieckiej, gdyż Niemcy w ciągu stuleci odznaczały się walką o ideały. Im zawdzięcza ludzkość tolerancję religijną, która po tylu wojnach religijnych stała się zdobyczą narodów cywilizowanych; im głównie — rozwój filozofii uwalniającej człowieka od wszelkich autorytetów. I ten naród myślicieli miałaby teraz używać swej przewagi materialnej dla zgniecenia sąsiedniego, a mniejszego narodu? Co powiedziałby Kant, Goethe, Schiller, Fichte? W każdym razie nie przyłączyliby się do hakatystów. A jeżeli w ogóle wezwanie do brutalnej walki rasowej nie odpowiada duchowym poglądom historycznych wychowawców narodu niemieckiego, to wezwanie (do niej) staje się podwójnie oburzające, gdy zwraca się je do młodzieży akademickiej. Celem tej młodzieży powinno być torowanie drogi ideałom przeszłości, nie zaś poniżanie się do zwierzęcej walki o byt. Hasłem postępowej części ludzkości powinna być miłość, miłość ludzi pojedynczych, jak i narodów; winny one wzajem miłować się i szanować. Nie mamy dla hakatystów nienawiści, nie mamy dla nich nawet wzdargy — możemy się tylko litować nad nimi jak nad ślepcami, zadającymi sobie trudne do zagojenia rany. Polakom oni nie zaszkodzą, a na odwrót bardzo dla Polaków jest pociesającym, że wrogowie stwierdzają ich postęp i rozwój, że ich nienawidzą, bo się ich boją, zatem mimo woli muszą ich cenić. Hakatyści przynoszą wstyd i hańbę narodowi niemieckiemu

²² Należy to traktować jako zwrot retoryczny. Pozostałe dzielnice Polski bynajmniej nie pozostawały obojętne wobec tego co się działo w zaborze pruskim. Np. działalność Banku Ziemskiego w Poznaniu, założonego w 1898 r. do walki z wykupem ziemi przez Komisję Kolonizacyjną, opierała się w znacznej mierze na wkładach z zaboru rosyjskiego.

i żaden szlachetnie myślący Niemiec nie może zjednoczyć się z nimi. Przede wszystkim zaś młodzież akademicka niepowinna dawać posłuchu tym wezwaniom do brutalnej walki rasowej!"²³.

Oczywiście przebieg założycielskiego zebrania lipskiej Hakaty znalazł pogłos w innych, poza „Vorwärts”, niemieckich czasopismach. Jedno z nich — „Leipziger Neueste Nachrichten” sugerowało, jakoby Polaka wyrzucono z sali *Tivoli*²⁴. Natomiast „Berliner Tageblatt” zupełnie odmiennie zapatrywał się na tę sprawę. Wyczytać w nim można było następującą uwagę:

„Profesora wykształconego na niemieckich wzorach usuwa się z sali dlatego, że wypowiada to co uznaje za prawdę. Jest to postępek, na którym towarzystwo Hakata traci wiele na sympatii”²⁵. W podobny sposób skomentowała ten fakt „Breslauer Zeitung” nadmieniając, że w związku z uniemożliwieniem dokończenia mowy Lutosławskiemu *dieser Vorgang ist überaus charakteristisch für den gesamtten Hakatismus*²⁶.

Również prasa polska nie pozostała obojętna wobec lipskiego incydentu. Postarał się o to zresztą sam Lutosławski, przesyłając opis całego zajścia do redakcji „Kraju”. W czasopiśmie tym ukazały się na ten temat dwa artykuły. Jeden (*Wolność słowa u hakatystów*) to relacja o udziale Lutosławskiego w zgromadzeniu Związku Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich, drugi (*Z nad Warty*) stwierdzał, że wprowadzie głos Polakowi odebrano, ale i tak spełnił on swe zadanie. Świadczył o tym choćby artykuł w „Berliner Tageblatt”, ganiący uczestników lipskiego zebrania za ich zachowanie się. Wypadek ten mimo woli zmusił pewne kręgi w Niemczech do zastanowienia się dąkąd prowadzi ideologia Hakaty²⁷.

W „Czasie” pierwszą wieść o założeniu lipskiej Hakaty podał K.M. (Kajetan Morawski?). Szczególnie negatywnie oceniał on udział w tej imprezie profesorów berlińskiej i miejscowej wszechnicy: Horsta Kohla i K. Lamprechta. Przytaczał również antypolską odezwę zwołującą wiec. Autor artykułu radził odpowiedzieć Prusakom ekonomicznym bojkotem. Nie wspominał jednak o roli jaką na zgromadzeniu w *Tivoli* odegrał Lutosławski²⁸. Do sprawy tej powróciła redakcja w artykule *Zebranie hakatystów: oprócz około 500 „patriotów” przybyło na wiec 40-tu Polaków: rzemieślnicy, robotnicy, studenci; po wstępnym referacie do głosu zapisał się Lutosławski. Przemówił krótko, ale z dużą oratorską swadą piętnując antypolską działalność Hakaty. Wywołało to ze strony słuchaczy głośne*

²³ W. Lutosławski, *Wolność słowa u Hakatystów*. „Kraj” 1898, nr 49; *Mowa prof. Lutosławskiego*. „Tygodnik Ilustrowany” 1898, nr 51; *Lipsk, 5 grudnia*. „Dziennik Poznański” 1898, nry 281 i 282; *Zebranie hakatystów*. „Gazeta Warszawska” 1898, nr 328; *Redefreiheit unter Hakatisten*. „Leipziger Volkszeitung” 1898, nr 281.

²⁴ *Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken*. „Leipziger Neueste Nachrichten” 1898, nr 332.

²⁵ Por. „Berliner Tageblatt” (Abend—Ausgabe) 1898, nr 617.

²⁶ *Deutschland: Zwecks Bildung...*, „Breslauer Zeitung” 1898, nr 853 (Morgen—Ausgabe).

²⁷ *Modest, Z nad Warty*. „Kraj” 1898, nr 50.

²⁸ K. M., *Otrzymujemy następujące pismo*. „Czas” 1898, nr 280.

oznaki niezadowolenia. Zatem mówca wezwał rodaków, aby wraz z nim na znak protestu opuścili zebranie²⁹.

Rzecz oczywista, że najobszerniej kwestią tą zajęły się dzienniki w zaborze pruskim. Wielokrotnie powracał do niej „Dziennik Poznański”, dokładnie opisując przygotowanie, przebieg i rezultaty założycielskiego wiecu Hakaty w Lipsku³⁰. Za nim sprawę tę podjęły „Kurier Poznański” i „Gazeta Toruńska”³¹.

Odtąd zła sława towarzyszyła naukowemu środowisku Lipska. W 1901 r. korespondent „Teki” A...ski pisał, że chyba żaden inny niemiecki uniwersytet nie jest tak przepojony duchem Hakaty jak *Alma Mater Lipsiensis*. Tamtejszy prof. E. Hasse

„jadem nienawiści poi studentów Niemców do wszystkiego co polskie! Nawet wykłady o statystyce służą mu do tego celu. Wypowiada często przy tym tego rodzaju prawdy: Niemcom nie wolno bawić się w sentymety. Ich obowiązkiem jest prowadzić z Polakami walkę na śmierć i życie”³².

Prasowa polemika, która rozgorzała wokół lipskiego incydentu zwróciła nań uwagę „Koła Polskiego” w pruskim sejmie. Dnia 14 grudnia 1898 r., w czasie debaty nad budżetem, poseł Stanisław Motty wykazał zasadniczą sprzeczność między głoszoną przez czynniki rządowe potrzebą pokoju, a jednocześnie wciąż podwyższanymi wydatkami na zbrojenia. „Jak można mówić o pokoju między narodami — zapytywał — skoro burzy się go we własnym państwie?” Przykładem tego według Mottego — stała się działalność Hakaty nie tylko w Prusach, lecz i w innych krajach Rzeszy. Następnie przytoczył treść ulotki z 1898 r., wzywającej do założenia *Ortsgruppe* w Lipsku. Wspomniał o zajściu spowodowanym przemówieniem Lutosławskiego, nazywając go „pewnym profesorem z Kazania”³³.

Sam Lutosławski niebawem opuścił Lipsk, ale incydent w *Tivoli* utkwiał mu w pamięci i z czasem znalazł swój pogłos w jego wspomnieniach. Być może, iż ze swym przemówieniem nie wystąpiłby na zebraniu hakatystów, gdyby nie wsparcie jakiego doznał ze strony studenckiej Polonii Lipskiego Uniwersytetu. Stanowiła ona wówczas silny i zorganizowany ośrodek świadomej narodowych celów młodzieży. Wydarzenia z 1898 r. na długo zachowano tam w pamięci jako przykład cywilnej odwagi i wzór patriotycznej postawy.

RYSZARD ERGETOWSKI

²⁹ Zebranie hakatystów, „Czas” 1898, nr 282.

³⁰ Hakatyzm w podróży. „Dziennik Poznański” 1898, nr 279.

³¹ W piątek... „Kurier Poznański” 1898, nr 279; Prof. Lutosławski, tamże nr 283; P. Tiedemann w Lipsku. Gazeta Toruńska 1898, nr 282.

³² A...ski, Korespondencja. „Teki. Czasopismo Młodzieży Polskiej” 1901, ss. 368 - 372.

³³ Mowa etatowa posła St. Mottego. „Dziennik Poznański” 1898, nr 286; Mowa posła St. Mottego. „Czas” 1898 nr 288; R. Komierowski, Koło Polskie w Berlinie. 1875 - 1900. Poznań 1905, ss. 327 - 328; Mowa etatowa posła St. Mottego. „Kurier Poznański” 1898, nr 286.